pocztowa opłacona gotówką.

29 LISTOPADA
Nr 2 Rok I.
WARSZAWA 1936

Podbipięta

GAZETA TYGODNIOWA

Cena numeru 30 groszy

Redakcja i Administracja
WARSZAWA,
AL. UJAZDOWSKIE 39
tel. 714-67
Prenumerata miesięczna z przesyłką pocztową [illegible] zł.
Konto P. K. O. Nr. 24545
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 148

Dobrowolna cenzura

Niskie nakłady, nikły wpływ naszej prasy, zwłaszcza politycznej, są zjawiskiem, skłaniającym do zastanowienia. Nawet wziąwszy pod uwagę nasze ubóstwo i brak oświaty, nie wytłumaczylibyśmy go w sposób dostateczny. Jest przyczyna inna jeszcze, bodaj że najważniejsza: **nasi dziennikarze i publicyści są nieciekawi, ponieważ są skrępowani.**

Nie mało, rzecz jasna, przyczynia się tutaj zbyteczna surowość cenzury: utrudnienie mówienia wprost, jawnego formułowania pretensyj i oskarżeń zachęca do niejasnych aluzyj, złośliwości, sprawia, iż spory nie toczą się o sprawy istotne, ale ograniczają się do napomknięć, docinków, nie posuwających dyskusji naprzód, czyniących ją nie pouczającą i pozbawioną treści. Zabezpieczenie się przed zarzutami, których nie dozwolono opublikować, naraża na insynuacje, na które nie ma możności odpowiedzieć.

Znacznie większą jednak rolę — i szkodliwszą od oficjalnej — odgrywa cenzura inna, dobrowolna, jaką sami pisarze nakładają na siebie z nałogu myślowego, z nawyku karności grupowej, nie dopuszczając własnym poglądom nie tylko wypowiedzieć się publicznie, ale nawet samodzielnie rozwijać się i dojrzewać. Na ten objaw, jako w skutkach najdonioślejszy — najsilniejszy należy położyć nacisk.

Przede wszystkim — z rzadkimi nader wyjątkami — upowszechnił się zwyczaj mówienia stale nie w imieniu własnym, osobiście, ale w imieniu jakiegoś zespołu, jakiejś grupy: stąd ustawiczny lęk by nie powiedzieć za wiele, nie stanąć w sprzeczności z ortodoksją partyjną, a wobec tego ustawiczna też skłonność do powtarzania ogólników, banałów, których na własny rachunek niejednokrotnie żenowano by się już prezentować. Frazes najbardziej zużyty, wytarty — wydaje się czymś godnym ogłaszania, gdy się umieszcza go w niepodpisanym artykule wstępnym, albo w „deklaracji programowej".

Jednocześnie „duch grupy" krępuje twórczość myślową także i z tego powodu, że na pierwsze miejsce wysuwa względy propagandowe (nazywa się je dla przyzwoitości: względami „wychowawczymi"). Prowadzi to w praktyce do jednostronnego skupienia wszystkich blasków na własnym obozie i wszystkich mroków na obozie współzawodnika, w obawie, że obraz bardziej odpowiadający rzeczywistości, o rzetelniejszym rozłożeniu świateł i cieni, mógłby „zdemoralizować" szersze masy, osłabić zaufanie do przywódców itd. Przy tym, jak w bajkach dla grzecznych dzieci, „ze względów pedagogicznych", „dobra sprawa" musi zawsze zwyciężać: wystarczy czytać relacje przedstawicieli różnych grup o tych samych wydarzeniach, aby przekonać się, jak łatwo — w interesie tego „morału"—poświęcają oni prawdziwość informacyj, sumienne— a więc w istocie jedyne wartościowe — wyjaśnienie omawianych przez siebie zjawisk.

Słowacki w „Anhellim" apoteozował cichą „ofiarę serca". Nasi politycy nazbyt często składają dziś cichą „ofiarę rozumu", wyrzekając się myślenia własną głową, swoich praw jako osobowości twórczej, swobodnego kształtowania swoich poglądów. Ofiara to stanowczo zbyt pochopna i zupełnie narodowi nie potrzebna.

Położenie dzisiejsze Polski wymaga myśli odważnej i samodzielnej, ażeby je — zgodnie z potrzebami chwili dziejowej — ująć i zrozumieć. Z drugiej strony spoistość narodu nie straci na tym, ale zyska, gdy „lojalności grupowe" mniej przeszkadzać będą w swobodnej wymianie zdań między Polakami, gdy oświadczenia przedstawicieli różnych kierunków mniej przypominać będą deklaracje dyplomatyczne reprezentantów obcych i wrogich sobie nawzajem potencyj.

A przy tym czas by już raz zerwać z tą zbyt zarozumiałą postawą „wychowawców" społeczeństwa, traktujących je jak niedorostka, obawiających się, że „nie wytrzyma" ono myśli niezależnej i prawdziwego, nie dostosowanego do psychiki „maluczkich" obrazu ludzi i zdarzeń. Trochę więcej wiary w naród — nie zaszkodzi!...

JAN REMBIELIŃSKI.

Rozsadzenie

Zagadnienie żydowskie, w całości swej jedno z najdonioślejszych, wysuwa długi szereg problemów konkretnych różnej aktualności i wagi. Wśród nich kwestia „rozsadzenia", bezwątpienia dziś najaktualniejsza, wydaje się czymś względnie drobnym. A przecież w tym zespole zagadnień niema może drugiej kwestii, tak ciekawie ilustrującej niesamowitość centralnego problemu, i tak rozległe otwierającej pespektywy.

Zjawienie się jej w takiej ostrości na porządku dziennym uprzytomnia przede wszystkim samą niezwykłość zagadnienia żydowskiego, niemoralność potworną stanu rzeczy, który nazywa się zażydzeniem Polski. Żaden inny naród europejski nie stoi przed koniecznością rozwiązania w skali tak wielkiej zagadnienia tak osobliwego, jak unormowanie współżycia z rasą niesłychanie obcą i niesłychanie na terytorium narodu-gospodarza rozpanoszoną.

Oddzielenie Żydów od Polaków w audytoriach uniwersyteckich jest fragmentem tej samej akcji i przejawem tej samej woli zbiorowej, która — dążąc do urzeczywistnienia normalnej Polski, — w stosunku do Żydów stawia sobie za cel oddzielenie ich od społeczności polskiej możliwie zupełnie na wszystkich polach. Tylko, że w tym wypadku problem, nie komplikując się innymi względami, np. gospodarczymi, występuje w całej ostrości problemu kulturalno - rasowego, z wyrazistością elementarną.

Zlekceważenie problemu, prowadzące do zlekceważenia także i postulatu „rozsadzenia", uniemożliwia narazie jego praktyczne urzeczywistnienie. W konsekwencji wytwarza to ten na pozór paradoksalny stan rzeczy, że ogniska największego zadrażnienia powstają przede wszystkim tam, gdzie o spokój — zdawałoby się — najłatwiej, tam, gdzie jest wielce potrzebny, tam gdzie pielęgnuje się naukę: na uniwersytetach.

Gdy konflikt zaostrza się tak coraz bardziej, rozwiązanie nasuwa się z przeraźliwą jasnością, rozwiązanie klasyczne: skoro tarcie jest nieuniknione, zmniejszyć płaszczyznę tarcia! Z tego punktu widzenia rozsadzenie jest po prostu najracjonalniejszym w danej sytuacji postulatem, wynikającym z ogólnego programu izolacji.

Ale kwestia pociąga też uwagę ku innym, wielkiego znaczenia momentom, nie w każdym przejawie polsko-żydowskiego konfliktu występującym tak wyraźnie.

Przede wszystkim ukazuje ona możność złagodzenia szorstkości tarć przez zastosowanie się Żydów dobrowolne, do żądań społeczności akademickiej polskiej. Nie we wszystkich zaś dziedzinach życia zbiorowego dobra wola Żydów może prowadzić do tak natychmiastowo pomyślnych dla obu stron rezultatów. Tym bardziej więc pożądany byłby pouczający przykład, jak w pewnych wypadkach pojmowanie przez Żydów położenia swego w Polsce w sposób nowoczesny, zrozumienie przez samych nich konieczności ustąpienia z pozycyj, jakie dotąd w społeczeństwie naszym zajmowali, mogłoby znacznie przyczynić się do złagodzenia przebiegu procesów, które, wywołane wolą społeceństwa polskiego, wprędce już muszą przybliżyć przyszłą normalizację.

Z drugiej strony jest to kwestia, w której brak tej dobrej woli prowadzi do rozdrażnień nieopanowanych i wyjątkowo silnych. Trudno dokładnie zbadać i zanalizować impulsy, które Polaka od żyda odrzucają wręcz fizycznie. Gdy jednak w tej sytuacji, samej przez się kłopotliwej, Żyd oświadczy po prostu, że się nie wyniesie, choćby tylko na lewą stronę sali, problem upraszcza się natychmiast. Żyd przestaje być tylko inny, a staje się intruzem, potwierdzającym najgorszą o sobie opinię, drażniącym w sposób nieznośny i prowokującym reakcję, nie argumentów socjologicznych, lecz czynną.

W ten sposób zagadnienie, które dałoby się rozwiązać stosunkowo gładko, rozwiązanie swe otrzymuje w starciu antagonizmów najostrzejszych.

Jeszcze jedną dziedzinę o perspektywach rozległych otwiera dla refleksji ta drobna stosunkowo kwestia. Idzie w tej walce o fizyczne wydzielenie z polskiej społeczności akademickiej grupy żydowskiej. Unaocznia się przez to cel główny: zapobieżenie zmieszaniu, Polska normalna, nie zaś Judeo-Polska. Cel wspólny dla wszystkich Polaków, w najjaskrawszym świetle bezsensu ukazujący trwanie wojny domowej i wszelkie próby przeinaczenia zagadnienia polityki narodowej na partyjne.

W. J. C.

Wydarzenia ostatnich dni na uniwersytecie warszawskim — i wywołana nimi polemika prasowa — najsmutniejsze budzić muszą refleksje.

Jest zjawiskiem gorszącym, kiedy w sprawie stosunku Polaków do żydów, w której z natury rzeczy stanowisko polskie powinno być jednolite, jedność tę łamią partykularne względy, małostkowe współzawodnictwa i pretensje.

Niechaj ci, co za stan obecny ponoszą odpowiedzialność, spojrzą na rzecz z szerszego, polskiego, nie wyłącznie partyjno - organizacyjnego stanowiska. Niechaj się zastanowią.



Rys. E. Manteuffel.

„Zapamiętajcie rok trzydziesty dzień dwudziesty dziewiąty Listopada".
STANISŁAW WYSPIAŃSKI
„Noc listopadowa" scena I.

KRONIKA ŚWIATA

W Madrycie bez zmian

Dalszy tydzień bitwy o Madryt nie przyniósł powodzenia powstańcom: obie strony, na ogół wziąwszy, utrzymują swoje dotychczasowe pozycje.

Jak okazuje się, wojska gen. Franco szybciej osiągały sukcesy w polu, gdzie większa łatwość manewrowania armią regularną i lepsze wyćwiczenie jej dawało przewagę nad improwizowanymi raczej, spośród ludności cywilnej tworzonymi oddziałami wojsk rządowych. W walkach ulicznych natomiast, jakie toczą się w tej chwili w stolicy, tym większe znaczenie posiada zawziętość grup obrońców, a nawet poszczególnych jednostek, stawiających opór w każdym domu, w każdej bramie, w każdym zaułku. Rozdarcie Hiszpanii przedstawia też obraz coraz tragiczniejszy: na północnym zachodzie jeden rząd w Burgos, na wschodzie, nad morzem Śródziemnym drugi rząd w Walencji, a w samym sercu półwyspu Iberyjskiego w stołecznym Madrycie, od trzech tygodni toczy się walka, powoli zamieniająca miasto w gruzy.

Dwie Hiszpanie

Rząd powstańczy generała Franco, w braku nowych zwycięstw na froncie, może pocieszyć się sukcesem dyplomatycznym, jakim jest uznanie go za rząd legalny przez Niemcy i Włochy. Wielka Brytania, Francja i szereg państw (również i Polska) w dalszym ciągu utrzymują stosunki oficjalne z rządem w Walencji. Jednakowoż i we Francji, i w Anglii coraz więcej zwolenników zyskuje myśl, żeby uznawać oba rządy równocześnie, za równouprawnione strony wojujące, nie uważając żadnego spośród nich za zbuntowanych przeciw władzy prawowitej rebeliantów. Pogląd powyższy zalecają wybitni uczeni z Instytutu Prawa Międzynarodowego, wskazując, iż ułatwiłoby to ogromnie wprowadzenie jakiegoś ładu, a przez to zmniejszenie możliwości zatargów, jakimi zagrażać musi podjęcie przez rząd powstańczy blokady portów katalońskich, przede wszystkim zaś Barcelony. W praktyce zresztą już obecnie np. ambasador Wielkiej Brytanii przy rządzie madryckim, w tej chwili przebywający w Hendaye (na granicy francusko - hiszpańskiej), sir Henry Chilton, utrzymuje przy pomocy kurierów kontakt z rządem powstańczym, rezydującym w Burgos.



LARGO CABALLERO.

Wymowne zarzuty wzajemne

A przecież, w tym rozdarciu tragicznym, którego obraz przedstawia Hiszpania, jakże wymowne są — gdy zastanowić się głębiej nad ich treścią — zarzuty wzajemne, które stawiają jedna drugiej obie strony walczące!

Komunikat armii powstańczej (radio — Sevilla, dnia 22 b. m.) ogłasza:

„W czasie walk, prowadzonych przez siły nasze w poszczególnych dzielnicach Madrytu, stwierdzono, że całe wojska nieprzyjacielskie, oficerowie i szeregowcy, nawet materiał wojenny, były rosyjskie.

Narodowa armia hiszpańska nie toczy więc już wojny domowej, ale wojnę z hordami azjatyckimi, które za wszelką cenę pragną narzucić panowanie komunistów nad Hiszpanią."

A tegoż dnia rząd Largo Caballero w Walencji publikuje oświadczenie, w którym czytamy:

„Pomoc, udzielana przez faszystów rebeliantom... daje im możność prowadzenia dalej wojny, pozwalając zaradzić, dzięki importowi broni zza granicy, brakowi sprzętu wojennego.

Włochy faszystowskie... znalazły w osobie Franco wspólnika, którego im brakło, aby spróbować zamienić Hiszpanię w kolonię o pozorach niezawisłości, która dorzuciłaby do korony etiopskiej władztwo nad wyspami Balearskimi...

Ich godnym sojusznikiem okazały się Niemcy „nazistowskie"..., które podobnież szukają w Hiszpanii, w zmowie ze zbuntowanymi generałami, brakujących surowców...

Aby doprowadzić do skolonizowania Hiszpanii, użyto i używa się w dalszym ciągu wojsk, będących pod suwerennością sułtana" (marokańskiego, przyp.)...

Warto wgłębić się w sens tych wzajemnych oskarżeń. Czyż nie znamienne jest, że nawet w chwili największego zaognienia wojny domowej, głównym argumentem agitacyjnym i jednej i drugiej strony okazują się nie programy ustrojowe, gospodarcze itd. — ale zarzuty stania się narzędziom obcych, zagranicznych wpływów i przeciwstawienie im idei niezawisłości Hiszpanii i narodowej suwerenności. Rzeczywistość narodu jako wspólnoty dostrzegalna jest nawet... w hasłach, mających za cel podniecanie się do walk bratobójczych...

Alfred i Mojżesz

Pisząc o uznaniu przez Niemcy rządu gen. Franco, „Völkischer Beobachter", organ szefa oddziału zagranicznego partii narodowo-socjalistycznej, dr. Alfreda Rosenberga oświadcza: „Niech nie próbują przedstawiać tej decyzji jako usiłowania dzielenia Europy na dwa bloki: nikt nie jest mniej zainteresowany niż Niemcy w popieraniu takiego podziału". Zarazem zaś berliński dziennik stwierdza, że faktycznie podział powyższy już istnieje, skoro w Hiszpanii rządzi dziś w rzeczywistości nie p. Azana ani p. Largo Caballero, ale ambasador Rosji sowieckiej, p. Mojżesz Rosenberg.

Trudno, mając nawet wielki zasób dobrej woli, z zupełnym zaufaniem odnieść się do przytoczonego wyżej oświadczenia. Podział Europy (czy nawet świata całego) na bloki: komunistyczny i antykomunistyczny leży w interesie Niemiec, podobnie zresztą jak w interesie Rosji sowieckiej, ponieważ w blokach tych, wzajemnie przeciw sobie zwróconych, Rosji i Niemcom z natury rzeczy przypadłyby role kierownicze. I aczkolwiek p. Alfred Rosenberg jest Niemcem znad Bałtyku, nordykiem jasnowłosym, zaś p. Mojżesz Rosenberg zwyczajnym starozakonnym, do pewnych granic dążenia ich są równoległe, — w tym mianowicie znaczeniu, że dla jednej i dla drugiej strony korzystne jest akcentowanie przeciwieństw ideologicznych, jako podstawy podziału przy układzie sił politycznych na terenie międzynarodowym. Wojna między dwoma wrogami odrazu nie wybuchnie (utrudnia ją nie posiadanie przez oba państwa wspólnej granicy), tymczasem zaś Niemcy w bloku antykomunistycznym i Rosja w komunistycznym zyskują możność oddziaływania na całe grupy narodów, możność ekspansji ideologicznej, politycznej i gospodarczej...

Układ niemiecko-japoński

Jednym z przejawów tej polityki „bloków ideologicznych" jest zawarty właśnie układ niemiecko-japoński, gdzie obie strony zobowiązują się do pomocy wzajemnej w zakresie zwalczania komunizmu. W państwach, którym ten podział na „bloki" jest z szeregu względów niedogodny, przede wszystkim w Anglii, układ powyższy spotyka się z nader nieprzychylną oceną.

Ambasador sowiecki w Tokio, p. Jureniew oświadczył, że nie uważa za wystarczające wyjaśnienia, iż wspomniana umowa dotyczy właściwie współpracy celem zwalczania agitacji komunistycznej wewnątrz obu układających się krajów. Wyraził równocześnie zdumienie, iż rząd niemiecki potrzebuje policji japońskiej, a rząd japoński policji niemieckiej, aby toczyć walkę z komunizmem i że ta walka wymaga w obu krajach aż porozumień międzynarodowych.

Dyplomacja japońska, z humorem jaki nieraz cechuje jej wystąpienia (np. pamiętna deklaracja w chwili opuszczania przez Japończyków Ligi Narodów) odpowiedziała na te zarzuty oświadczeniem, że układ z Niemcami nie jest bynajmniej zwrócony przeciwko Rosji sowieckiej, z którą Japonia pragnęłaby utrzymywać jaknajlepsze stosunki, ale wyłącznie przeciw międzynarodówce komunistycznej („Kominternowi"), „której działalność nie podlega przecież kontroli rządu Z S. S. R."...

Żadnych zmian od czasu Locarna

Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, p. Anthony Eden wygłosił w Leamington przemówienie, w którym ponownie sprecyzował kierunek polityki zagranicznej Anglii, stwierdzając, iż brytyjskie siły zbrojne „będą w razie potrzeby użyte dla obrony Francji i Belgii przeciw niesprowokowanej napaści, zgodnie z istniejącymi zobowiązaniami. Mogą być, i gdyby nowy układ został zawarty dla Europy zachodniej będą użyte dla obrony Niemiec, jeśliby stały się ofiarą niesprowokowanej napaści ze strony któregoś z sygnatariuszy tego paktu".

Innymi słowy, Wielka Brytania stoi na tymże samym stanowisku, jakie zajmowała przed jedenastu laty w Locarno, mianowicie rozróżnienia zachodnich granic Rzeszy Niemieckiej, których niezmienność gotowa jest gwarantować, i granic wschodnich, co do których takich zobowiązań na siebie nie bierze. Wydaje się to zgodne z zasadniczym dążeniem polityki brytyjskiej, pragnącej pokoju wszędzie, ale broniącej go tam, gdzie zagrożone są bardziej bezpośrednio jej interesy i — ostatecznie — chętniej widzącej ekspansję niemiecką w kierunku Europy wschodniej, aniżeli w kierunku kolonij zamorskich.

Tylko... pocóż ogłaszać w tych warunkach o „zupełnie odwróconej sytuacji w stosunku do atmosfery lokarneńskiej z 1925 roku"? Różnica w praktyce polega na tym właściwie, że w tamtych czasach z niezadowoleniem przyjmowaliśmy ową politykę rozróżnienia gwarancyj bezpieczeństwa na wschodniej i na zachodniej granicy Niemiec. Dziś się cieszymy... Ale to przecież tylko zmiana naszego usposobienia, że obecnie poprzestajemy na mniejszym

Fortyfikacja Kanału Kilońskiego

Wygląd okolic kanału Kilońskiego, przekopanego w monotonnym płaskim terenie, prawdopodobnie się nie zmieni. Pasażerowie statków, kursujących między Gdynią a Londynem, nadal daremnie będą poszukiwali jakichś bardziej interesujących szczegółów w pejzażu łąkowym, rozpościerającym się z obu stron wąskiego kanału. Lecz choćby się pejzaż nie zmienił, okolice kanału będą silnie ufortyfikowane. — Przekreślone też zostanie orzecznictwo Trybunału haskiego, który m. in. w słynnym wyroku wydanym w sprawie parowca „Wimbledon" określił obowiązki Niemiec wyznaczając im jaknajściślej bierną rolę. Obecnie kanał Kiloński przestał być międzynarodową drogą wodną, jaką był w czasie lat ostatnich osiemnastu.

Min. Antonescu w Polsce

Do Warszawy przybył, jako gość serdecznie witany, rumuński minister spraw zagranicznych, p. Antonescu. Tradycyjna już przyjaźń polsko - rumuńska, oparta na głęboko sięgającej wspólnocie interesów, doznała dzięki tym odwiedzinom nowego wzmocnienia. Zgodna jest ona z jednomyślnym i zdecydowanym stanowiskiem opinii publicznej w obu krajach.

Nie od rzeczy więc będzie, przy okazji tych odwiedzin, przypomnieć autentyczne zdarzenie sprzed wojny. Było to w początkach bieżącego stulecia, we Lwowie; hrabia Wojciech Dzieduszycki (podówczas prezes Koła Polskiego w Wiedniu), gawędził z kilkoma przedstawicielami młodzieży akademickiej. „A wiecie" — zapytał nagle — „z kim przyszła Polska, kiedy powstanie, podpisze pierwszy swój traktat sojuszniczy?" Wszyscy zamilkli. — „Z Rumunią" — odpowiedział na własne pytanie „hrabia Wojtek".

I tak się też stało.

Prezydent Roosevelt po wyborach

Zwycięstwo Roosevelta przeszło oczekiwania zarówno jego zwolenników, jak przeciwników. Po raz pierwszy wyniosło go niezadowolenie, po raz drugi zadowolenie szerokich mas.

Poprzednio głosowali nań ci, co się zawiedli na Hooverze, teraz poparli go ławą wszyscy pragnący utrzymania pomocy państwowej, hojnie świadczonej przez administrację Roosevelta dla zbiedzonej kryzysem ludności. Złośliwi przepowiadają dalszy ogromny wzrost tych świadczeń po zwycięstwie. Pomnażałaby się w ten sposób nadal liczba zadowolonych i urósłby do niesłychanych rozmiarów deficyt, z którym uporaćby się musiał przyszły prezydent. Jest to oczywiście sympli styczne i wielce nieżyczliwe ujęcie celów polityki Roosevelta, wśród których wybijają się na pierwsze miejsce: walka z monopolami kapitalistycznymi, regulacja produkcji rolniczej i rzecz w Ameryce nowa— popieranie spółdzielczości. Nie należy zapominać, że prawodawstwo, którym Roosevelt usiłował skrępować kapitalistów, zniesione zostało w dużej części orzeczeniem Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, tak, że zwycięzca w wyborach, którego imię stało się dla przeciętnego Amerykanina symbolem walki z wybujałym kapitalizmem, staje obecnie do niej częściowo rozbrojony.

W Ameryce Południowej

Donoszą z Assomption, że rewolucja znowu wybuchła w Paragwaju, usiłowano zdobyć koszary policyjne w stolicy, przyczem parÜset ludzi odniosło rany. Aresztowano kilku byłych ministrów.

Władza prezydenta Peru, generała Bevinides'a, przedłużona została na trzy lata. Kongres unieważnił wszystkie głosy, oddane na przedstawiciela opozycji, Eguiguran'a, wyjaśniając, iż uzyskał on większość przy wyborach na prezydenta dzięki poparciu partii, która uznana została za nielegalną.

CZESŁAW BIAŁOBRZESKI

Przewrót w fizyce

Nowa mechanika i zasada „swobodnego wyboru" przyrody

Jan Bernoulli na początku XVIII stulecia wypowiedział twierdzenie, że jeżeli odrzucimy zasadę przyczynowości, cała przyroda wpadnie w bezład, czyli stanie się nieuporządkowanym chaosem.

Niewątpliwą jest rzeczą, że to twierdzenie stało się rodzajem przyrodniczego dogmatu: Kant, którego filozofia odegrała tak wielką rolę w myśli nowożytnej, uznał przyczynowość jako jedną z podstawowych kategoryj myślenia naukowego, bez której poznanie przyrody byłoby niemożliwe.

Najdoskonalszym przykładem zastosowania tej zasady przyczynowości, są ruchy ciał niebieskich, należących do naszego układu słonecznego, to znaczy planet ich satelitów oraz ich komet. Jeżeli wyznaczymy z obserwacji położenie i prędkość ruchu planety lub komety w jakiejkolwiek chwili, to biorąc za podstawę prawo grawitacji powszechnej Newtona, możemy obliczyć ich położenie w każdej chwili późniejszej: tego rodzaju obliczenia sprawdzają się przez obserwacje astronomiczne z niezachwianą dokładnością. Prawo grawitacji stało się jakby wzorem przy poszukiwaniu innych ścisłych praw przyrody.

Przed rokiem 1925, gdy powstała nowa mechanika, obraz fizyczny budowy materii był następujący: ciała przyrody składają się z atomów jak od początku XIX wieku uczyła chemia, a jeszcze wcześniej filozofowie greccy szkoły atomistycznej, sam zaś atom chemiczny jest rodzajem układu słonecznego, w którym jądro dodatnie naelektryzowane gra rolę słońca, elektrony zaś ujemne, krążące dookoła niego — rolę planet. Ten obraz budowy ciał przyrody odpowiada napozór wiernie poglądowi, który jeszcze Newton wypowiedział w słowach: „Bóg na początku rzeczy ukształtował materię, cząstki stałe, masywne, twarde, nieprzenikliwe i ruchliwe". Zjawiska przyrody sprowadzają się do ruchu tych cząstek.

MECHANIKA KWANTOWA

Pierwszy cios odpartemu na podstawach Newtonowskich światopoglądowi fizycznemu, zadała teoria względności, która uzależniła czas od przestrzeni i wykazała ich względność. Ale prawdziwa rewolucja dokonała się dopiero na gruncie teorii kwantów, której początek przypada na rok 1900, gdy Planck wprowadził pojęcie kwantu energii. Niels Bohr w roku 1913 okazał, że atomy o ustroju planetarnym mogą wytłumaczyć własności ciał przyrody, ale pod warunkiem, że obok praw klasycznej Newtonowskiej fizyki wprowadzimy nowe prawa, zwane kwantowymi. Otóż te dwa rodzaje praw znajdują się w jawnej sprzeczności.

Niesprzeczność jest bądź co bądź zasadniczym postulatem umysłu, wobec czego nie podobna było się pogodzić ze stanem rzeczy, jaki się wytworzył w fizyce.

Umysł ludzki i tym razem potrafił rozwiązać niepokojącą zagadkę sfinksa — przyrody. W latach 1924, 5 i 6 czterej młodzi fizycy - teoretycy: Broglie, Heisenberg, Schrödinger i Dirac — Francuz, dwu Niemców i Anglik — przebudowali fizykę na nowych podstawach (wszyscy są obecnie laureatami nagrody Nobla). Najbardziej zdumiewającym wynikiem ich dzieła, jest **usunięcie determinizmu, a więc przyczynowości** z przebiegu elementarnych procesów atomowych.

Rzeczą godną uwagi jest to, że nikomu z nich początkowo nie przychodziło na myśl wprowadzenie do fizyki indeterminizmu. Każdy wychodził z pewnych konkretnych wyobrażeń, z których dochodził do ogólnych twierdzeń, ujętych matematycznie. Okazało się, że te twierdzenia, na których jest ugruntowana mechanika kwantowa, czyli mechanika świata atomowego, nie dopuszczają interpretacji przyczynowej. W ten sposób indeterminizm niespodziewanie pojawił się w fizyce i ją opanował, ponieważ jasną jest rzeczą, że prawa świata atomowego są podstawą zrozumienia przyrody.

Ażeby zdać sobie sprawę z tego, jaką treść pojęciową zawiera indeterminizm fizyczny, najlepiej będzie rozważyć klasyczny przykład konkretny.

ROZPAD RADU

Jak wiadomo, rad jest ciałem promieniotwórczym. tłumaczymy jego własności tym, że drogą spontanicznej przemiany powstaje z niego inny pierwiastek — radon, dawniej zwany emanacją radową: każdy atom radu w pewnej chwili wybuchowo przeobraża się w atom radonu, wyrzucając cząstkę alfa*). Wyobraźmy sobie teraz dwa odosobnione atomy radu, znajdujące się w warunkach identycznych. Co mówi fizyka o tym, kiedy dla każdego z nich nastąpi owa fatalna chwila przeobrażenia? Odpowiedź na to pytanie brzmi: nie jest możliwe wskazanie chwili, w której zajdzie przeobrażenie. Jeden atom może ulec przemianie w tej właśnie minucie, drugi — po upływie miliona lat, pomimo, iż nie ma między nimi żadnej różnicy, dającej się stwierdzić metodami fizycznymi. Nie znaczy to wszakże, ażeby w tym zjawisku rozpadu atomów radu nie było zgoła prawidłowości. Przeciwnie, podlega ono prawu, które pod względem ścisłości i prostoty w niczym nie ustępuje prawu grawitacji Newtona. Prawo rządzące rozpadem wyraża się tym, że w każdej chwili istnieje określone i zawsze to samo prawdopodobieństwo, że atom radu ulegnie przemianie np. w ciągu godziny. Jeżeli więc ów atom nie rozpadnie się po upłynięciu miliona lat, to szanse jego rozpadu pozostaną niezmienione. Jest to czyste prawo przypadku, to samo, na którym jest zbudowana matematyczna teoria prawdopodobieństwa.

*) Wiemy z doświadczenia, że połowa atomów, z których składa się jakikolwiek preparat radu, ulegnie przemianie w ciągu 1580 lat.

ODBICIE I ZAŁAMANIE ŚWIATŁA

Przytoczymy jeszcze jeden przykład nie mniej charakterystyczny. Wystawmy sobie wiązkę światła, padającą na płytkę szklaną: część światła, jak wiadomo, odbije się od powierzchni płytki, część zaś wejdzie wewnątrz niej, załamując się na powierzchni. Znane jest dokładne prawo, według którego natężenie światła dzieli się pomiędzy wiązki odbitą i załamaną. Zanalizujemy bliżej to tak pospolite zjawisko. Współczesna fizyka uczy, że promień światła ma równocześnie naturę fali i strumienia cząstek świetlnych, zwanych fotonami.

Jakie jest zachowanie się poszczególnego fotonu w rozpatrywanym zjawisku? Foton jest niepodzielny, skutkiem czego znalazłszy się na powierzchni płytki, może albo odbić się od niej, albo wejść wewnątrz.

Wybór między obu alternatywami nie jest zdeterminowany: jeden foton odbije się, drugi w tych samych warunkach przeniknie wewnątrz szkła. Ale istnieje określone prawdopodobieństwo wyboru w jednym i drugim kierunku; dzięki temu, gdy pada na płytkę wielka ilość fotonów, z góry powiemy ile odbije się, jako też ile wejdzie do płytki. Ścisłe prawo rozdziału natężenia między światło odbite i załamane, nie jest jak widzimy, oparte na przyczynowości, lecz na statystyce, podobnie jak to mieliśmy w przypadku rozpadu promieniotwórczego. Ten sam charakter według nowej mechaniki mają wszystkie prawa przyrody, dostępne doświadczalnemu sprawdzeniu.

„RUINA DETERMINIZMU" I „SWOBODNY WYBÓR"

Można byłoby mniemać, że taki stan rzeczy nie oznacza jeszcze ruiny determinizmu. Od połowy ub. stulecia fizyka stosuje w szerokim zakresie metody statystyczne do badania świata atomowego. Jedno z najpoważniejszych praw fizyki klasycznej, — drugie prawo termodynamiki, — ma charakter statystyczny. Nikt pomimo tego nie kwestjonował bezwzględnej ważności zasady przyczynowego związku zjawisk.

Celem wyjaśnienia różnicy między punktami widzenia starej i nowej fizyki, rozpatrzmy pospolity przykład. Mam na myśli rzuty monety: prawdopodobieństwo wypadnięcie orła lub reszki jest jednakowe, równe połowie. Mamy tu do czynienia ze zdarzeniami przypadkowymi, a jednak jesteśmy przekonani, że zasa przyczynowości bynajmniej nie jest naruszona. Gdybyśmy w chwili każdego rzutu znali położenie monety i najdrobniejsze szczegóły ruchu dłoni, moglibyśmy z całą pewnością przewidzieć wynik rzutu na podstawie praw mechaniki Newtona.

Przypadkowość zjawiska, umożliwiająca zastosowanie rachunku prawdopodobieństwa, polega tu więc na tym, że zmiana wyniku rzutu zależy od najdrobniejszych i nie dających się uniknąć zmian warunków rzutu.

Ale czy to samo stosuje się do rozpadu atomu radu lub odbicia fotonu od płytki szklanej? Czy nie powinniśmy przypuścić, że istnieją ukryte i nieznane nam przyczyny, sprawiające, że atom radu rozpada się w tej, a nie innej chwili, foton zaś odbija się a nie wchodzi w płytkę? Otóż takich przypuszczeń czynić nie możemy. W mechanice kwantowej mamy przed sobą dotychczas niespotykaną w dziejach myśli ludzkiej konstrukcję pojęciową, w której **prawidłowości statystyczne nie mogą mieć za podstawę elementarnych praw przyczynowych.** To twierdzenie zostało ściśle udowodnione przez J. v. Neumanna. Jesteśmy więc zmuszeni, mówiąc słowami Bohra, liczyć się ze **swobodą wyboru natury pomiędzy rozmaitymi możliwościami.**

Ataki na adwokaturę

Od pewnego czasu w dyskusjach i rozmowach prywatnych, w odczytach i referatach, a nawet w prasie periodycznej, w formie anegdotycznej, publicystycznej, i jakby pseudo-naukowej poczęły się ujawniać tendencje, zmierzające ku szerzeniu tez czy twierdzeń, któreby można określić jako walkę z adwokaturą. Czy to na podstawie osobistych mniej lub więcej przykrych doświadczeń, czy to na podstawie nieścisłych częstokroć lub powierzchownych opowieści, czy wreszcie wskutek zapoznania właściwej roli adwokata przed sądem lub wskutek pożałowania a czasem potępienia wprost godnych wystąpień poszczególnych obrońców wypowiadano słowa oburzenia przeciwko adwokaturze w ogóle, zarzucano, że adwokaci podejmują się obrony takich spraw, które rzekomo nie powinny korzystać z opieki prawnika, starano się nawet wykazać, że jeżeli oskarżony, żywiąc zaufanie do swego obrońcy, przyzna się adwokatowi do popełnienia inkryminowanego czynu, nie może wówczas adwokat wnosić za takim oskarżonym obrony i nie może domagać się uniewinniającego wyroku, bo byłoby to, jak się wyraził autor wygłoszonego na ten temat referatu, „poplecznictwem" ze strony adwokata czyli współudziałem w przestępstwie.

POMYSŁ ZNIESIENIA ADWOKATURY

Dały się słyszeć i takie zdania, że zbędnym jest w ogóle udział adwokatury w wymiarze sprawiedliwości, boć przecież, jak twierdzono, same strony, lepiej i dokładniej aniżeli adwokat, znające faktyczną podstawę sporu, mogą bez udziału adwokata wyjaśnić i przedstawić sprawę, sędzia zaś obiektywnie spór oceni i rozstrzygnie według zasad prawa i słuszności. Ukoronowaniem jakby krytycznego ustosunkowania się do adwokatury był artykuł, który przed paru tygodniami ukazał się w jednym z czasopism (nota bene nie prawniczych), zatytułowany: „Niebezpieczny zawód".

Autor wypowiedział w nim pogląd, że adwokaci, mający wskutek swych czynności zawodowych ciągłą styczność bądź to z przestępcami w sprawach karnych, bądź też z przekraczającymi prawo i słuszność klientami w sprawach cywilnych, stają się jakby elastycznymi w kwestiach etycznych, nabierają jakiejś tolerancyjności w stosunku do przekroczenia obowiązujących norm i przepisów prawnych i łacno mogą sami stoczyć się ku nizinom. Na poparcie swego poglądu autor powołał się na stwierdzone w ostatnich czasach wypadki takiego pośliźnięcia się paru adwokatów, zakończonego pociągnięciem do odpowiedzialności karnej.

Zbędne jest chyba udowodnianie, iż taka argumentacja, wysuwająca zasadę „pars pro toto", nie jest słuszną, że przy przekraczającej 7.000 osób liczebności adwokatury w Polsce parę czy kilka wypadków popełnienia przestępstw przez adwokatów nie może rzucać cienia ujemnego na całą korporację, która na takie potępienie w czambuł zaiste nie zasłużyła.

Wszędzie i zawsze we wszystkich zawodach i na wszelkich stanowiskach bywały jednostki, które z tych czy innych powodów załamały się i upadły; nie jest to jednak powodem do potępienia wszystkich pozostałych, którzy nie raz po nad siły, z poświęceniem zdrowia a nawet życia ofiarnie służą dobru społecznemu. Adwokatura polska i w swej przeszłości z czasów zaborczych i w swej działalności po wskrzeszeniu niepodległości posiada tak piękne karty i wysunęła tylu mężów zasłużonych w pracy narodowej, że chlubić się może na ogół swym stanowiskiem w społeczeństwie.

DOŚWIADCZENIE REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

Ataki na adwokaturę nie są nowe. Wszystko to już było, powiedziałby Ben Akiba. Były już okresy w dziejach narodów, kiedy występowano przeciw adwokaturze, kiedy ją całkowicie nawet znoszono, *aby.... wkrótce znowu ją przywrócić.* Jaskrawym przykładem jest to, co się zdarzyło swego czasu we Francji, gdzie, jak wiadomo, adwokatura jeszcze za czasów monarchii Bourbonów miała utrwaloną i mocną pozycję. Otóż, w dobie wielkiej rewolucji w roku 1790, na mocy dekretu z dn. 11 września: „prawnicy, zwani przedtem adwokatami, nie mogą tworzyć tworzyć stanu korporacji i nie mogą korzystać z żadnego stroju specjalnego podczas sprawowania swych fukcyj". Okazało się jednak, że można usunąć adwokaturę, lecz trzeba ją czymś natychmiast zastąpić. W cztery miesiące zaledwie po dekrecie wrześniowym, 19 stycznia 1791 r. ukazał się nowy dekret, przyznający procesującym się stronom prawo do obrony ustnej lub pisemnej „za pośrednictwem obrońców urzędowych". Widocznie jednak działalność „urzędowych obrońców" tak się dała we znaki i tak silną wywołała reakcję opinii publicznej, wytworzyła taki chaos i bezład, że Napoleon, który nader nieżyczliwie był usposobiony względem adwokatów, lecz który, jak to o nim powiedział Goethe, mógł tolerować niesprawiedliwość, ale nie znosił chaosu, w r. 1804 przywrócił listę adwokatów i ich strój urzędowy, a w sześć lat później w r. 1810 przywrócił w całości ustrój korporacyjny adwokatury i jej autonomię.

Zdarzały się i w innych krajach próby tworzenia adwokatów-urzędników, lecz wyniki tych usiłowań były tak żałosne, że obecnie już się do tego rodzaju eksperymentów nie powraca i we wszystkich państwach cywilizowanych zatriumfowała niepodzielnie i wyłącznie zasada adwokatury niezależnej jako wolnego zawodu.

Jan Nowodworski

Jak przyjęto „Podbipięte"

Oczekiwaliśmy oczywiście w wielkim naprężeniu, jak zostanie przyjęty pierwszy numer „Podbipięty". Dzisiaj możemy już z radością stwierdzić iż „Podbipięta" doznał przyjęcia, które przeszło nasze oczekiwania. Codziennie otrzymujemy szereg telefonów z gratulacjami i mnóstwo listów ze słowami zachęty, wśród których nie brak opinii szeregu wybitnych osobistości, różnych kierunków politycznych i różnych zapatrywań społecznych. W cichym domku rentierów, w którym mieści się nasz lokal przy Ul. Ujazdowskich 39 od pierwszego n-ru „Podbipięty" codziennie jest rojno i gwarno. W sferach politycznych na temat „Podbipięty" krąży szereg komentarzy, najczęściej zupełnie fałszywych, którym prasa dała już wielokrotnie wyraz. A w kawiarniach warszawskich ulotki o „Podbipięcie" fruwają stadami.

Podobno... napewno...

PŁK. KOC WYSTĄPI W PRZEDDZIEŃ OTWARCIA SEJMU

W kołach politycznych dobrze poinformowanych twierdzą, iż płk. Koc jest zdecydowany wystąpić ze swoją deklaracją ideową, oddawna już gotową, przed zebraniem Sejmu, więc prawdopodobnie 1 lub 2 grudnia. Wśród posłów utrzymuje się przekonanie, iż w razie niewystąpienia płk. Koca lub w razie ujemnego wrażenia jego deklaracji w parlamencie, w ciągu krótkiego czasu różne grupy zaczną szybko przeobrażać się w kluby partyjne. Największe tendencje w tym kierunku istnieją w obecnej chwili w grupie pracy, na czele której stoi senator Bobrowski.

GENERAŁ SKŁADKOWSKI JAKO PARLAMENTARNY PREMIER

Im bliżej sesji, tym bardziej stosunki między Rządem a Parlamentem stają się sielankowe. W ostatniej rozmowie z m. Carem generał Składkowski zapewnił kurtuazyjnie, iż Rząd w przeciwieństwie do lat poprzednich ma zamiar stale brać udział w posiedzeniach Sejmu. Generał podkreślał szczególnie swoje zainteresowanie, jako szefa Rządu, pracami Parlamentu i zapowiedział, że będzie ich pilnym obserwatorem. Będziemy więc mogli w ciągu sesji w kuluarach Parlamentu zobaczyć nieraz gen. Składkowskiego. Nie będzie to już generał Składkowski z r. 1928, organizator słynnej demonstracji oficerskiej w sejmowym westibulu, groźny poskramiacz „panów posłów". Po raz pierwszy gen. Składkowski wystąpi w roli prawdziwego premiera parlamentarnego, a w swym przemówieniu sprawozdawczym, które nastąpi przy otwarciu Izb, znajdzie niewątpliwie ciepłe słowa dla Parlamentu. Wybór nowego wicemarszałka został odroczony ze względu na brak zgody do osoby kandydata.

OPOZYCJA

Wiadomości o rozmowach z marszałkami obu Izb przedostały się już do sfer parlmentarnych i rozbrajają opornych. Właściwie w chwili obecnej zarysowuje się wyraźnie opozycja przeciw jednemu tylko ministrowi, p. Poniatowskiemu. P. Kwiatkowski bowiem przez ściągnęce do Rządu na miejsce p. Lechnickiego, który nie reprezentował właściwie ani naprawiaczy, ani pułkowników, wiceministra Morawskiego, niewątpliwie osłabił niechętne nastroje do siebie niektórych grup. Konflikt między p. Poniatowskm a Sejmem nie zacieśnia się do konfliktu z grupą ziemiańską czy to w sprawie radykalizacji reformy rolnej, czy też gospodarki w lasach państwowych. Wielkie niezadowolenie wśród posłów ziem zachodnich wywołuje akcja osadnicza prowadzona na tych ziemiach przez Min. Rolnictwa oraz niedawne rozporządzenie wykonawcze do ustawy o uboju rytualnym, które odbiera jej właściwie poważniejsze znaczenie. Można oczekiwać, że obóz antysemicki, którego trzon w Sejmie stanowi grupa Wielkopolska, czy to przez posłankę Prystorową, czy też przez posła Sikorskiego, zainterpelują w tej sprawie Rząd. W wielkim kłopocie może znaleźć się również min. Poniatowski, jeśli Parlament zajmie się wewnętrznymi stosunkami w Min. Rolnictwa, gdzie rządzi wszechwładna grupa „trzech muszkieterów", zajmująca najważniejsze wyższe stanowiska. Z grupy tej wychodzą inspiracje, o których można sądzić z dużym prawdopodobieństwem, iż nie są znane ministrowi Rolnictwa. Inaczej bowiem nie możnaby zrozumieć jak w jednym i tym samym gabinecie mogą siedzieć obok siebie pp.: Poniatowski i Świętosławski. I tak np. inspiracji uchwalonej ostatnio marksistowskiej i antykatolickiej rezolucji na zjeździe „Związku Młodej Wsi' należy szukać nietylko w redakcji „Kuriera Porannego", jak doniósł K. A. P., ole przede wszystkim w gabinecie „muszkietera" K. Bliższe wejrzenie w wewnętrzne stosunki na Senatorskiej, pozwoli łatwo skonstatować, iż Ministerstwo Rolnictwa przeobraziło się w Ministerstwo polityki wiejskiej, mającej na celu przede wszystkim stwarzanie na wsi odpowiednich nastrojów dla pewnych członków Rządu.

Wicemin. Skarbu Kaj. Morawski

W trudnej dla siebie sytuacji p. Poniatowski nie posiada poparcia reszty członków gabinetu. Prócz różnicy poglądów z ministrem Wojny, ostatnio poróżnił się również nawet z ministrem Ulrychem, który w swych radykalnych poglądach był mu wśród członków rządu niewątpliwie najbliższy. Ale...

MIN. PONIATOWSKI NIE ŚPI

Min. Poniatowski bowiem, wytrawny parlamentarzysta z okresu przedmajowego czuwa. W ciągu lata niejednego z posłów chłopów można było widzieć w jego ministerialnym samochodzie. Z jednym odwiedziło się jakieś wzorowe gospodarstwo pod Warszawą, z innym piękną oborę i chlewik, z innym znowu stację doświadczalną i t. d. i powoli nastrój w Kole Rolników ulega zmianie. A poza tym jest jeszcze „Naprawa" gotowa kruszyć kopię za swego „Wodza ideowego", jak nazwał senator Malski ministra rolnictwa w przemówieniu w senacie. I jest również p. Miedziński gotów dla popularności na lewicy bronić p. Poniatowskiego jak lew. Dezorganizacja zaś Sejmu utrudniać będzie atakowanie min. Rolnictwa mimo istnienia wielu nezadowolonych.

NIESPODZIANKI W KLUBIE NIEPODLEGŁOŚCIOWYM

Na dzień otwarcia Sejmu zwołano plenarne zebranie Klubu b. uczestników walk o Niepodległość dla wyboru nowego zarządu i opracowania planów na przyszłość. Mówi się, iż obecny prezes, senator Sieroszewski nie zostanie ponownie wybrany przewodniczącym. Możliwym jest ,iż stanowisko to opanują „naprawiacze". Jest również prawdopodobnym, iż wicemarszałek Miedziński, który już raz kandydował na prezesa Klubu i przepadł, będzie ponownie chciał stanąć na jego czele. Zwołanie zebrania oznacza chęć zaktywizowania Klubu ze strony legionowej, wbrew woli płk. Sławka.

TOTALIZM POSADOWY

Przez dłuższy czas nie widzieliśmy już w prasie fotografii min. Kościałkowskiego. Dopiero od chwili ogłoszenia akcji pomocy państwowej p. Kościałkowski powrócił na szpalty dzienników i to w stroju górnika. Niedługo zobaczymy podobiznę min. pracy przy jakiejś kuchni dla bezrobotnych, po tym w gronie biednych dzieci, po tym wśród bezdomnych matek, w otoczeniu młodzieży akademickiej i t. d. Równocześnie p. Kościałkowski przypomina się nam niezwykłym rozporządzeniem z którego, wg. słów okólnika Wojewódzkiego Biura Funduszu Pracy, wynika, że „zakłady pracy podlegające obowiązkowi zabezpieczenia robotników na wypadek bezrobocia obowiązane są w terminie 3 dniowym zawiadomić o każdym wolnym miejscu pracy miejscowe biuro pośrednictwa pracy... i zaangażować pracowników za pośrednictwem tych biur". A więc od chwili wydania przez p. Kościałkowskiego powyższego rozporządzenia każdy przedsiębiorca zmuszony będzie do angażowania nowych robotników tylko tych, których zechce mu dać Biuro Pośrednictwa. A jakich ludzi mu da Biuro Pośrednictwa zależeć będzie oczywiście od instrukcyj politycznych. Pan Kościałkowski posuwa więc ingerencję biurokracji tak daleko, iż jego rozporządzenie można słusznie uważać za poważną reformę, pchającą nas do totalizmu państwowego, w którym o każdym stanowisku decyduje tylko biurokracja.

POJEDYNEK NIEDZIAŁKOWSKI — BARLICKI

Nowozałożony marksistowski „Dziennik Popularny" rozwija się pomyślnie. Jest pierwszym w Polsce naprawdę organem frontu ludowego i zdecydowanym pismem filosemickim, cieszącym się poparciem nietyle wielkich bankierów żydowskich ile żydowskiej inteligencji. Ale ten niespodziewany sukces starego idealisty i romantyka, jakim jest profesor polonistyki p. Barlicki, spędza sen z oczu pp.: Niedziałkowskiego, Czaplińskiego, Kwapińskiego i innych członków C. K. W. P. P. S. Sukces przyjaciela jest boleśniejszy czasem od powodzenia nieprzyjaciół. A tym więcej jeżeli ten przyjaciel jest krytycznie usposobiony (z czym się nie kryje), w stosunku do władz P. P. S. Postanowiono więc na Wareckiej działać. Nie zaproszono wprawdzie redaktorów Barlickiego i dr. Musktenblita, mimo ich sukcesów, do współpracy w redakcji „Robotnika" ale obniżono cenę „Robotnika" do 10 gr. t. zn. do ceny „Dziennika Popularnego". Poza tym zaproponowano p. Barlickiemu prezydenturę w Łodzi, którą władze skłonne są zatwierdzić. Mówi się, że p. Barlicki przyjmie tę godność, ale na krótko i że nie zaniechał wraz z swymi przyjaciómi Natansonem i Muskatenblitem akcji prasowej, która coraz wyraźniej przekształca się w odrębną obok P. P. S. akcję polityczną, mogącą liczyć całkowicie na pomoc żydowską. Kiedy ostatnio Rada Naczelna P. P. S. przybrała wyraźnie pokojowy ton w stosunku do „sanacji", organ p. Barlickiego oświadcza naodwrót, iż nie zamierza iść śladami p. Niedziałkowskiego. Warto więc obecnie śledzić stosunki wewnętrzne P. P. S., których dalszy rozwój zapowiada w tej partii nową „linię podziału".

„BOA" PRZED SEJMEM

Społeczeństwo polskie nigdy nie orientowało się, dla jakich celów powołane zostało do życia tzw. Biuro Organizacji i Akcji w Prezydium Rady Ministrów. Od początku snuto najrozmaitsze domysły i kombinacje. Początkowo była to impreza śp. W. Stpiczyńskiego. Później wymieniano płk. Koca jako protektora. Wreszcie ostatnio pewne koła kolportują wieści, jakoby Boa miało być cennym narybkiem dla przyszłych planów Marszałka Rydza, przy czym najczęściej wymienia się nazwisko p. Zdzisława Grabskiego. W rzeczywistości nikt nie przyznaje się do Boa. Płk. Kowalewski, na którym oparto wszystkie nadzieje, nie przyjeżdża i nie zdradza ochoty opuszczenia Bukaresztu. Boa jest więc bezimienna i bezpańska, ale chociaż jest na pół martwe do niedawna liczyło jeszcze dwudziestu kilku urzędników. W jakim celu i do czego? Komu jest to potrzebne? Skąd kredyty na tę małą armię urzędników? Przed niedawnym czasem w łonie Boa nastąpił kryzys, po którym szereg pracowników na znak protestu przeciw bezczynności opuściło biuro. Drugim ciosem było zlikwidowanie na rozkaz premiera części personelu. Mimo to pozostało jeszcze 11 osób. Nadchodzi sesja, posłowie przygotowują interpelację. Któż z nich zajmie się tym klasycznym przykładem niepotrzebnych wydatków, jakim jest wyrzucanie grosza publicznego na Boa?

ZA CO ARESZTOWANO WE WŁOSZECH RZYMOWSKIEGO?

Do dzisiaj dnia aresztowanie p. Rzymowskiego, gdy przebywał w Rzymie w charakterze korespondenta „prasy czerwonej", pozostaje otoczone tajemnicą. P. Rzymowski twierdzi, iż aresztowano go za korespondencje skierowane przeciw dyktaturze, z którą jednak po roku 1926 tak się dobrze pogodził, że zarówno Brześć jak i Bereza nie zdołały już zmienić jego poglądów. Natomiast mniej jest wiadome w opinii polskiej, iż właściwym powodem aresztu i wydalenia p. R. były jego wyjątkowo bliskie stosunki z wielkim mistrzem loży Amendolą. Pan R. woli nie chodzić w Polsce w aureoli męczennika za masonerię.

W POZNANIU PRZED WYBORAMI — KTO BĘDZIE PREZYDENTEM?

Stronnictwo Narodowe przyjęło taktykę wykluczającą wszelkie kompromisy, nawet z Chrześcijańską Demokracją, która chętnie schroniłaby się dzisiaj pod skrzydła obozu narodowego. Możliwe jest wprawdzie, że na liście Stronnictwa Narodowego znajdą się wkońcu kandydaci Ch. Dem., ale tylko ci, którzy z góry przyjmą warunki podyktowane im przez władze Stronnictwa Narodowego. Szanse narodowców obliczane są na 45 mandatów t. zn. do 75 proc. Reszta 15 mandatów przypadłaby innym grupom politycznym oraz ugrupowaniom o charakterze lokalno zawodowym. Do pierwszych należą, „naprawiacze" zgromadzeni wokół „Nowego Kuriera", finansowani przez doktora Sużyńskiego i Machowskiego. Najpoważniejszem oparciem dla tej grupy są: Unia Pracowników Umysłowych, Robotnicze Zjednoczenie Zawodowe Polskie i Z. Z. Z. „Naprawiacze" odżegnują się od „sanacji" i wysuwają działaczy jeszcze politycznie niezgranych.

Drugą grupę polityczną stanowią socjaliści z p. Kowalewskim na czele, którzy zawarli układ z komunistami. Ci ostatni mają też pewne szanse sukcesu. Również i „byli kombatanci" pracują nad stworzeniem frontu, ale narazie bez większego powodzenia. Z grup zawodowych lokalnych wysuwać będą kandydatury Front Rzemieślniczy popierany przez „Dziennik Poznański" i ściśle robotnicza grupa posła Mroza. Największe szanse na prezydenta posiada pan St. Kałamajski znany i popularny kupiec w Poznaniu, należący do Stronnictwa Narodowego. Kandydatura „naprawiaczy" nie ma widoków powodzenia.

SŁUCHAĆ HADKO!!

„Kurier Poranny" pisze w artykule wstępnym (z 25. 11.): „W obecnych czasach wyścigu pracy duch Mikołaja Reja powinien ostatecznie ustąpić przed duchem generała Arciszewskiego, Szolca Rohozińskiego, czy wielu innych naszych podróżników i eksploratorów..."

Czemuż to publicyści „Kuriera Porannego", mówiąc o podróżnikach, czują potrzebę „przezwyciężenia" Mikołaja Reja, któremu do zawdzięczenia mają tę bagatelę, że nie gęgają, lecz swój język mają? Więc ekspansję kolonialną wyobrażają sobie tak zupełnie bez ekspansji kulturalnej? I to w artykule p. t. „Kolonizacja wewnętrzna a ekspansja zamorska. Nie jedna po drugiej, lecz obie równocześnie"? Hadko, hadko.

*

Robotnik pisze:

„W szkole Wawelberga doszło też do zajść antyżydowskich... Natomiast inaczej przedstawiała się sprawa przed szkołą — na ulicy. Bohaterscy rozbijacze głów żydowskich uciekli na widok kilku robotników."

Czyż tych „kilku robotników" przyszło na ulicę Mokotowską stoczyć bójkę w obronie żydów? Czyż dla proletariusza polskiego istotnie najważniejszą troską jest wywalczenie, by na polskich wyższych uczelniach studenci żydzi i Polacy nie siedzieli na osobnych ławkach?

P. Jan Bobrzyński pisze: „Po 6 przeszło latach istnienia „Naszej Przyszłości", po 4 już niemal latach istnienia Koła Przyjaciół i wreszcie po 2 już prawie latach skonsolidowania się Koła w „Zw. Polsk. Myśli Państwowej" nadszedł wreszcie odpowiedni moment, aby podnieść zamkniętą dotąd d l a m n i e j d o m y ś l n y c h l u d z i przyłbicę i ogłosić jasno kim jesteśmy i co reprezentujemy... „Nikt nie wpadł jakoś na to, czym jesteśmy i gdzie jest nasze miejsce.."

Ale co będzie, jeśli i tą razą po otwarciu przyłbicy, nikt nie wpadnie jakoś na to, czym jest p. B. i jego związek?

*

Dziwne są myśli redaktora „Drugiej Ery, Drugiej Dekady w kalendarzu legionowym i wszechdziejowym", Tadeusza hr. Dzieduszyckiego. Jak można zrozumieć co mają znaczyć słowa: „Śmigłego okiem po chaosie międzydziejowym, kryzys finałem kmicicowania". Albo „Upadek Sławka jest wypadkową plusów i minusów, które reprezentował, symbolizuje znalezienie się polskiej nawy państwowej w rodzaju oka Tajfunu". Albo „Sławcja Składkowskiego wybierzcie panowie akademicy swoim prezesem, a odrazu zbieleją najczarniejsze plamy waszego słońca... (może chodzi tu o Rzymowskiego). I tak co miesiąc sto stron druku...

Upaństwowiona inicjatywa

W pewnym wielkopolskim starostwie granicznym wydarzyła się niedawno wesoła i smutna zarazem historia na tle gorliwej przedsiębiorczości gospodarczej państwowych czynników administracyjnych.

Starosta N. N. zapragnął powiat swój uprzemysłowić. Postanowił więc uruchomić z funduszów dyspozycyjnych starostwa fabryczkę drewnianej siatki plecionej do kapeluszy.

W tym celu wysłał swą krewną do Czechosłowacji na specjalne studia zapoznawcze z produkcją tego artykułu oraz zakupił maszyny potrzebne do wytwarzania plecionki. Fabrykę uruchomiono.

Pierwsza partia towaru okazała się złą, gdyż drzewo olchowe wielkopolskie okazało się do tej produkcji nieodpowiednie. Wówczas sprowadzono większą partię olchy z... Polesia. Produkt z drzewa poleskiego okazał się znakomitym. Wyprodukowano parę tysięcy beli siatki do kapeluszy. Wtedy pan starosta zabrawszy próbki, udał się do Łodzi celem zorganizowania sprzedaży swego doskonałego towaru i ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedział się od wytwórców kapeluszy, że... moda na kapelusze robione na siatce drewnianej od kilku zaledwie laty minęła.

Towar świetny — to prawda — ale nieaktualny.

Biedny pan starosta, biedne „bezrobotne" maszyny, biedna kieszeń szarego płatnika podatków.

WANDA MIŁASZEWSKA

1)

ŚWIĘTY WIĄZ

POWIEŚĆ

Część I

DIABEŁ I DZIECI

I. CZASZKA

Nowozbudowany młyn w Starych Kątach wciąż źle pracował. Mimo maksymalnego spiętrzenia wody w stawie, mimo, że kosztowna turbina była podobno ostatnim wyrazem techniki, — robota po dawnemu kulała. Po dawnemu puszczano w ruch tylko jeden, lub dwa postawy, a mliwo przedstawiało się nieszczególnie.

— Nic innego, tylko brak dwuch metrów dolnego ssania! — zawyrokował wreszcie Józef Boreysza, który sam przyjeżdżał codziennie linijką z Wielkich Kątów, by mieć oko na robotników. — Nie ma rady. Trzeba będzie jeszcze pogłębić kanał.

Ten młyn miał ważną misję do spełnienia. W kryzysowych czasach, jakie nastały wkrótce po Wielkiej Wojnie, powinien był dostarczać gotówki na bieżące potrzeby, na zaległe podatki, na inwestycję. Łamany dach starego dworu, kryty przedwojennemi gontami, wciąż czekał „lepszej koniunktury", a tymczasem skandalicznie przeciekał na głowy trzech mieszkanek domu. Współwłaścicielka Starych Kątów, pani Anna z Gołębiowskich wdowa po kapitanie Lipka-Lipeckim, usiłowała nawet prośbą i groźbą skłonić starą i schorowaną Teresę do opuszczenia poddasza, na którym jako panna respektowa babki, a później rezydentka, — spędziła sześć ósmych swego długiego żywota. Lecz staruszka nawet słyszeć o tym nie chciała:

— Może się Ania o mnie nie kłopotać. Dożyłam swego wieku, to i tej reszty, co mi jeszcze Pan Bóg przeznaczył, tutaj doczekam. Nastka w piecu przepali, choć i latem, a może w końcu pan Józef, naszą biedę wspomniawszy, o nowym dachu pomyśli, albo choć łaty nabić każe...

Łaty, owszem, nabito. „Podzienny" Czerepacha, całe trzy dni siedząc okrakiem na szczycie, zabezpieczał, jak umiał, zmurszałe i mchem porosłe przykrycie sędziwego domostwa. Szpetne zacieki na sufitach, ma się rozumieć, pozostały, mimo dwukrotnego bielenia. Podobały się tylko Hanusi, która zadarłszy jasną główkę, wykrzykiwała do siedzącej przy oknie Teresy:

— O! Niech Tereska patrzy, o! Tu jest żółw, a tu zupełnie pisarz Kozakiewicz, jak siedzi na workach z jęczmieniem. Nawet ołówek mu sterczy za uchem... Widzi Tereska?

— Jaki, Hanusiu, pisarz! Plama znów z pod wapna wylazła...

— Ale niech Tereska popatrzy! Żółwia przecież wyraźnie widać. A na lewo od żółwia... trochę ku górze... wąsy Kozakiewicza, jak żywe! Teraz chyba Tereska widzi?

— Widzę, że znów przez ciebie oczko zgubiłam... — zaszemrała staruszka. Zerknęła z rozczuleniem na jedynaczkę Aniną, na swoje ukochanie i, westchnąwszy, pochyliła się nad robotą.

Może się dziecko ósmych cudów dopatrywać w zaciekach na suficie. Może Ania cierpliwie znosić niewygody i braki, ale ona, Teresa, wie, że to się jakoś nie godzi: Wnuczce pana Ksawerego, prawnuczce Syruciów, choćby i po kądzieli, w takiej ruinie mieszkać... Ściany się chylą, woda na głowy kapie, a pan Józef nic! Jak się spalił dwór w Wielkich Kątach, to sobie nowy dom pobudowali, istny pałac: z tarasami, z pergolą, a jakże! A pani Boreyszyny wnuczka po bracie rodzonym, prawowita spadkobierczyni połowy Starych Kątów, sama truskawki, szparagi i pomidory wozi do miasta, żeby przecież coś z tej ziemi wyciągnąć, żeby było dla dziecka na ubranie, na książki...

Mówił pan Józef każdej wiosny: Za rok zaczniemy kapitalny remont, wszystko się powolutku zrobi. Aha, właśnie, zrobiło się! Jednego lata koniczynę spaliła susza, innej jesieni ziemniaki przez pół wygniły, a teraz znów z tym młynem! Od kwietnia zjeżdżali mechanicy, montowali nową turbinę radzili, debatowali, wyjeżdżali i znów wracali... Robotników na gotowym stole bywało dziesięciu, albo i więcej. Mleka, słoniny wyszło, że niech Bóg broni! Gospodyni Kublicka włosy darła z głowy, że na tyle gąb Starych Kątów nie starczy. A teraz się zaczęło z powrotem, od początku...

Trudno. Pani Anna sama tłumaczyła Teresie: Nowy młyn był konieczny. Nowy młyn stanął. A jak się powiedziało „A", trzeba i „B" powiedzieć. Będzie jeszcze jeden rok ciężki. Będzie trzeba jeszcze troszeczkę przebiedować.

Kanał odpływowy od młyna miał przeszło kilometr długości. Umówiono znów dziesięciu kopaczy. Sam dziedzic z Wielkich Kątów, mimo siewów, dozorował roboty. Trzeba było ziemię do właściwego poziomu wybrać, brzegi umocnić, a wszystko przed nastaniem zimna. I tak, w chłodne ranki wrześniowe robotnicy klęli, ile wlezie, chlapiąc się w grząskiem błocie.

Zato dla dzieci — istny raj. Kal nie czekał na ojca, tylko z samego rana przybiegał z Wielkich Kątów, zagajnikiem naprzełaj. Oboje z Hanią uwijali się na brzegu łąki, oglądając wyrzucone na brzeg kamienie. Niektóre z nich były niby toczone: okrągłe i duże, jak głowy ludzkie. Co chwila łopaty niewidzialnych pracowników wyrzucały w górę pecyny ziemi czarnej, rozlatującej się w powietrza na drobne części. Chlap! i kawałek trawy znikał pod ciemną, gęstą mazią, coraz wyższym wałem znaczącą granice rowu.

W południe, gdy się robiło cieplej, dzieci brodziły po kolana w tym grzęzawisku. Brały nawet „czynny udział" w robocie, próbując siły na łopatach, których kopacze użyczali im chętnie, łasi na krótki odpoczynek. Trzeba było wszystko zobaczyć, wszystkiego dotknąć, nic nie uszło uwagi bystrych i czujnych oczu. Trafiono właśnie na pokład torfiasty i Kal zawadził nogą o coś twardego, sterczącego ku górze. Były to, jak się okazało, rogi łosia. Opodal znaleziono jeszcze kilka piszczeli. Wszystko to dzieci obmywały w rzece i z triumfem zanosiły do domu.

Wielką sensację stanowił olbrzymi głaz, na który natrafiono mniej więcej w połowie kanału. Robotnicy próbowali odkopać go w całości, lecz



fot. Jan Bułhak.

sięgał zbyt daleko poza obręb linii wytkniętej.

— To głaz z epoki lodowcowej, — rzekła pani Anna Lipecka, która właśnie przyszła zabrać dzieci na podwieczorek.

— Waży napewno z pięć ton — odezwał się Józef Boreysza.

Któryś z robotników ofiarował się kamień rozsadzić dynamitem, ale Kal błagał ojca, żeby czcigodny odłam gór skandynawskich, skoro aż tutaj zawędrował, pozostawić na wieczystą pamiątkę.

— Będzie psuł brzeg kanału... — skrzywił się pan dziedzic, ale na prośby syna, poparte okrzykami Hani, kazał próby podkopu zasypać ziemią.

Głaz istotnie sterczał niezdarną wypukłością w połowie gładko ściętej ściany. Hania, zadowolona, że zostawiono olbrzyma w spokoju, wypytywała matkę gorączkowo, jakim sposobem mógł przebyć taki kawał drogi?

— Wszystkie te głazy narzutowe pozostały po olbrzymim lodowcu, który przed wielu, wielu wiekami zsunął się z krain północnych, krusząc po drodze odłamy skalne i tocząc je ze sobą. Później, pod lodowcem, topniejącym powoli, tworzyły się rwące potoki wód, dawne rzeki — olbrzymy, tak szerokie, jak pradolina Niemna. Znasz ją dobrze, patrzysz na nią często, jeżdżąc z Kalem od Jagint do Rohaczów.

— Ale kamień był przecież tak głęboko pod ziemią! Jak się tam dostał? — badała dziewczynka, niebardzo sobie radząc z pomieszczeniem w ośmioletniej głowinie faktów, które się wydarzyły tak dawno, że nie tylko mamusi, ale nawet Teresy nie było jeszcze na świecie.

Pani Anna uśmiechnęła się:

— To ziemia narastała powoli, warstewka po warstewce. Potem na mogile skandynawskiego wielkoluda wyrósł las. A dziś, — sama widzisz: nie ma lasu, nie ma łosi, będzie tylko głęboki kanał, odprowadzający wodę z pod młyna. Jedynym świadkiem tego, co się tu działo przez setki i tysiące lat, jest ten olbrzymi kamień.

Urwała nagle, jakby ją zdumiały własne słowa. Powtórzyła półgłosem, w zamyśleniu:

— Kamień został...

Potem, ścisnąwszy nieco mocniej rączkę córki, rzekła wesoło, tonem niefrasobliwej Ani z przedwojennej epoki:

— Ale podwieczorek także się już mocno postarzał. Zabieramy natychmiast Kala, jeżeli nie chcesz, żeby jadł czerstwe bułki. Kamień z pewnością nie ucieknie.

A jednak... uciekł. Tylko stało się to znacznie później, na wiosnę.

— — — — — — — — — — —

W tymże samym miesiącu, podczas kopania gigantycznego rowu, zdarzyła się największa sensacja, — „clou" sezonu. Znaleziono w mule, stanowiącym dawne koryto rzeczki, czaszkę ludzką. Najprawdziwszą w świecie czaszkę, z wypełnionymi ziemią oczodołami, z łukowato wygiętym rzędem zębów, zrazu ledwo widocznych, gdyż sterczały pomiędzy niemi splątane korzonki jakichś roślin.

Czaszkę znaleźli robotnicy akurat w miejscu, które starzy wieśniacy zwali jeszcze niekiedy „brodem". Dawno już tam żadnego brodu nie pamiętano Torfiasta łąka dzieliła rzeczkę i Tracewski Borek od wzgórza, na którym nic nie chciało rosnąć. Było to najgorsze pole w Starych Kątach. Udawała się tu jedynie, jak żartował Józef Boreysza, plantacja kamieni polnych, bo tych było istotnie bez liku.

Deszcz mżył od poprzedniego dnia. Hania, zakatarzona, siedziała w domu, grając z Kalem w tak zwane „pchełki". Raptem zjawiła się Nastka, z wrażenia obwieszczając nowinę w białoruskiem narzeczu:

— Panieneczko! Paniczu! Chadzicie tut! U kanali kopacze hołowu najszli! (Chodźcie! Kopacze w kanale głowę znaleźli).

— Czyją głowę? Gadaj po ludzku! — krzyknął Kal.

— Boh znaje, czyja ona! Musi, stareńka bardzo. W ziemi wykopali, głęboko.

Kilku susami dzieci znalazły się w sieni. Leżało coś na stole, okrągłe, brunatne. Przy drzwiach stał Józef Bańcuk i skrobał się za uchem.

— To... to wyście przynieśli? — spytał Kal trochę drżącym głosem. Nigdy jeszcze „tego" nie widział w naturze. Katafalk w kościele parafialnym zdobiła trupia czaszka i dwa złożone na krzyż piszczele. Ale tamta była inna, biała i daleko straszniejsza.

— Ano ja, paniczku, z Frankiem Dzietczykiem. Zachrupało coś pod łopatą. Myślelim: kamień. A to ta czaszka. Przynieśli my ją z Frankiem do pani, bo choć ona pewnie dawna, pogańska, ale zawsze nieładnie, żeby się po polu wałała.

— Mama jest w mleczarni — rzekła Hania, ostrożnie dotykając dziwnego przedmiotu końcem palca. Kość była gładka i gdzieniegdzie lśniąca, jakby polerowana.

Przypomniała sobie, że matka zawsze coś daje kobietom, przynoszącym z lasu jagody i grzyby. Tonem dorosłej osoby poleciła Józkowi, aby zaczekał, pobiegła do pokoju, wydłubała ze skarbonki dwadzieścia groszy i wręczyła je zdumionemu robotnikowi.

Taką cenę otrzymała głowa, zagrzebana w mule przez wiele setek lat.

Deszcz ani myślał ustać. Po podwieczorku zajechał bryczką Józef, aby zabrać syna do Wielkich Kątów. Agronom przeistoczył się natychmiast w antropologa. Obmacał czaszkę, przemierzył centymetrem, ostrzem scyzoryka uwidocznił zatarte linje szwów. Przy tej ostatniej operacji dolna szczęka, trzymająca się dotąd cudem, odpadła. Oczyszczona dokładnie z mułu, bez wyszczerzonych przykro zębów, czaszka miała teraz inny wyraz: łagodny, prawie smutny.

— To jest głowa kobiety — zawyrokował Boreysza. — I w dodatku bardzo pięknej. Popatrz, Aniu, — zwrócił się do kuzynki — jak szlachetnie sklepione czoło i kości policzkowe... Jaka śliczna linja nasady nosa...

Pani Anna zamknęła cukier w kredensie i spojrzała na czaszkę przez ramię mówiącego:

— Sądząc z rozmiarów, przypuszczałabym raczej, że jakieś biedne dziecko musiało się tam kiedyś utopić...

— Nie. Ta głowa należała z pewnością do młodej dziewczyny. Kości są wykształcone, szwy mocno zrośnięte. Zresztą wszystkie piękności okoliczne słyną z tego, że mają małe i kształtne głowy... Niedaleko szukając...

Pani Lipecka wyprostowała się i cofnęła o krok. Rumieniec przyciemnił na chwilę jej opaloną, jeszcze młodą i śliczną twarz. Józef roześmiał się hałaśliwie i poufałym ruchem położył rękę na przedmiocie swych badań.

— Widocznie typ urodziwych niewiast tutejszych sięga prastarych czasów. Ta czaszka, jak nic mogła przeleżeć na dnie rzeki pięć wieków.

— Tatuś dobrze zgadł! — odezwał się niespodziewanie z głębi pokoju uroczysty, dziecięcy głos.

Józef Boreysza odwrócił się razem z krzesłem i zawołał:

— Tych zawsze pełno, gdzie ich nie posieją!

Kal podszedł, ciągnąc Hanię za rękę:

— A wam kto już o tem powiedział?

Obwieścili zgodnym dwugłosem:

— Teresa.

Józef spojrzał na Annę i wzruszył ramionami:

— Ja wnioskuję na podstawie naukowych badań, a Teresa kładzie wam w głowę jakieś bajki.

Chłopiec żywo zaprzeczył:

— To nie bajki, tatusiu. Teresa wie, czyja to czaszka.

— Ho, ho! Może mi ją przedstawisz?

— To jest córka Syrucia, — recytował Kal jednym tchem, a Hania dorzucała ściślejsze informacje: — Jej ojciec był poganin i ona była też poganka. Oni tu żyli w dawnych czasach i Syruć chciał, żeby ona paliła święte ognie. A ona się zakochała w jednym Polaku...

— W panu Tracewskim... — wtrąciła dziewczynka.

— ... a ten Polak także się w niej zakochał. Ale on był polskim rycerzem, co tu z wojskiem przyjechał, a Syruć nie chciał pozwolić, żeby oni się ożenili i groził panu Tracewskiemu...

— ... A ona była bardzo nieszczęśliwa i płakała...

— I Syruć ją zamknął w domu i nie pozwolił jej spotkać się z ukochanym, a wtedy ona uciekła, i utopiła się w rzece...

— ... i za karę została wodnicą...

— ... a pan Tracewski, jak się o tem dowiedział, okropnie rozpaczał i poszedł czatować pod świętym drzewem...

— ... pod gabem! *).

— ... i jak Syruć przyszedł, to on wyskoczył i go zabił!

— A nie, bo Syruć jeszcze coś powiedział, zanim został zabity...

— To ty nie zrozumiałaś. Syruć był na śmierć przebity mieczem odrazu, tylko zanim umarł, powiedział do swojego wroga: Ty po śmierci zostaniesz diabłem i będziesz mieszkał w borku, gdzie spotykałeś moją córkę... I będziesz nocami siedział na tem ogromnem drzewie...

— Na gabie! — poprawiła z naciskiem Hania.

— ... na gabie. I będziesz straszył ludzi. A jak tylko zobaczysz wodnicę, będziesz ją gonił, a ona będzie uciekała zawsze od ciebie... Aż raz, kiedyś, jedna Syruciówna...

— ... ale nie ta wodnica!

— Naturalnie, że nie. To znaczy jakaś pra, pra, pra, prawnuczka tamtego Syrucia pokocha jakiegoś pra, pra, pra...

— Głupi jesteś z tem „pra"! Teresa powiedziała: Jedna Syruciówna pokocha jednego Tracewskiego i nie będzie go zwodzić, tylko przyjdzie pod to drzewo i powie mu...

Józef Boreysza nie mógł się oprzeć pokusie i zerknął w stronę Anny:

— Piękna bajeczka, co? I nawet nie pozbawiona morału, zważywszy, że...

Siedziała z wyrazem ogromnego zmęczenia na twarzy. Miał serce poczciwe i dawno strawił arbuza, otrzymanego ongi od Ani Gołębiowskiej, więc urwawszy w pół zdania, chwycił Kala za kołnierz i potrząsnął chłopcem, jak gruszką:

— Doskonale wszystko zapamiętałeś, co opowiadała Teresa. Szkoda że pan Koperkowski nie zawsze to może powiedzieć o zadanych ci lekcjach. A teraz marsz do domu — i żeby wszystkie zadania były na jutro przygotowane, jak należy!

Wychodząc, pocałował kuzynkę w rękę i szepnął, pokazując na czoło:

— Swoją drogą, zawsze mówiłem, że Teresa ma trochę tu... Żeby tymi swoimi Syruciami faszerować głowy dzieciakom!

— Biedna staruszka, ona zawsze musi za wszystkich cierpieć, — odpowiedziała pani Anna z Gołębiowskich Lipecka.

— — — — — — — — —

*) Gab, litewska nazwa wiązu.

Dlaczego Ruszczyc przestał malować?

Od bardzo już dawna przywykliśmy słyszeć utyskiwania publiczności, a nieraz i krytyków, na to, że Ruszczyc „przestał malować", pod czym zwyle rozumiano, że przestał wogóle być twórczym. Istnieje bowiem jeszcze i dzisiaj rozgałęzione bractwo estetyczne, które uznaje twórczość plastyczną li tylko na ścianach salonow ı muzeów i nie dostrzega jej na wielostronnej arenie życia. A Ruszczyc w pewnym okresie rzeczywiście przestał troszczyć się wyłącznie o wygląd tych ścian,



gdyż oddał się sprawom, które uważał za ważniejsze. Po tryumfalnej inauguracji swego mistrzostwa „Ziemią" w r. 1899-tym, po wielu wstrząsających dziełach malarskich, powstałych w następnym dziesięcioleciu, Ruszczyc odłożył pendzel pejzażysty, wyszedł z pracowni na ulice wileńskie i stanał do walki o wprowadzenie piękna do życia codzienego. Łamał chleb sztuki na drobne okruchy i karmił niemi rzesze, rozdawał je szeroko dookoła z gestem króla, a z gorliwością samarytanina. Chleb sztuki chwytało z rąk Ruszczyca wielu łaknących, nawet rzemieślnicy wileńscy umieli poznać się na jego życiodajnych własnościach. Tylko „warstwy oświecone" były niezdecydowane, a nierzadko przeciwne temu nowatorstwu Ruszczycowskiemu. Dlaczego nie maluje dalej obrazów do zawieszania nad pluszową kanapą w salonie lub w skórzanym gabinecie? Z żalem i zgorszeniem kiwano głowami w Wilnie nad tym „rozpraszaniem się" i „marnowaniem" talentu, w Warszawie zaś przyjmowano fakty dokonane z operetkową beztroską i niebardzo pamiętano, że Ruszczyc jeszcze w ogóle istnieje.

A Ruszczyc tymczasem istniał, pracował gorączkowo, bujnie i radośnie, ale już w innej dziedzinie. Porzucił „szerokie" aspekty Warszawy i Krakowa, postanowił żyć dla Wilna, a przez Wilno dla Polski. Z pogodą wziął na siebie brzemię olbrzymiego trudu, złożonego z tysiącznych codziennych zadań, pozornie drobnych i rzekomo pospolitych. Wypełniając je z żywiołowym entuzjazmem, sprawował niezmordowanie rządy artystyczne i kulturalne miasta, które nieraz same mu szły do rąk, ale niekiedy wymagały ciężkiej walki z bezmyślnością i bezwładem. Dowódca umiał być jednocześnie szeregowcem, wspaniały projektodawca — wiernym wykonawcą. Robił wszystko sam, zaprzęgając do pomocy licznych chętnych. Tworzył piękną książkę, stylowy plakat, wytworny program teatralny, szlachetne wzory techniki drukarskiej. Redagował pisma i wydawał zdobione przez siebie wydawnictwa i książki. Budował w wizjach i realizował w życiu wspaniałe oprawy dekoracyjne sztuk scenicznych, festynów i widowisk. Wykołysał w marzeniu i przyodział w żywe ciało Wydział Sztuki na wskrzeszonym Uniwersytecie Wileńskim, troskając się o jego najpiękniejszą treść i najawznioślejszą szatę z pieczołowitością matki i z dalekosiężną bystrością wizjonera. Ukochał zbeszczeszczone w niewoli dostojeństwo architektury i zabytków miasta, odgrzebywał ich chlubne i tragiczne koleje, stawał na straży ich ocalałych resztek, uczył poznawać i czcić spuściznę stuleci szacownej kultury. Sam o tym nie wiedząc, stał się ambasadorem majestatu dawnej stolicy Zygmuntowskiej, powszechnie uznanym dyktatorem, otaczającym możną i skrzętną opieką każdy przejaw żywego i czującego Wilna. Miał zajętą każdą godzinę dnia, żył w domu jak na popasie, pracował nocami do białego świtania, z pogodnym uśmiechem na ustach zabijał się nadludzkim trudem w żarliwej gonitwie za mirażami piękna, które umiał ściągać na ziemię w kształcie skończenie doskonałym. Przykładał ręki i pracy wszędzie, gdzie go potrzebowano, a nieraz i tam, gdzieby wolano załatwić sprawę szablonowo bez Jego udziału; niewołany spieszył wciąż ze swej pracowni do świata i ludzi pilnował, by siebie nie okradali z możliwości życia piękniejszego i godniejszego, szedł tam, gdzie go wołało Jego przeznaczenie, Jego renesansowa dusza, Jego ofiarnicze serce, spalające się w ogniu natchnienia. W każdym wydarzeniu więszej wagi, na każdym miejscu polskiego Wilna pozostawiał ślady swego duchowego przewodnictwa, swej iście królewskiej wielkoduszności.

Tak przeżył w Wilnie przeszło dwadzieścia lat. Nieliczni rozumieli i czcili jego misję, ale ogół zdawkowo żałował „zmarnowanego" artysty. Dopóki „sławny Ruszczyc" zbierał w stolicach dowody uznania i hołdy odznaczeń za swoje pejzaże, Wilno udzielało zdaleka i na kredyt tym tryumfom swojej afirmatywy. Ale z chwilą, gdy cudowny artysta stanął przed nim twarzą w twarz, gdy rzucił mu pod nogi pół życia, garście bezcennych klejnotów talentu, rozproszonych w codzienności, geniusz reformatora i natchnienie proroka narodowych jutrzni, — wówczas ślepe Wilno nie dostrzegło Ruszczyca, nie umiało go ocenić i zrozumieć. Był za blisko, był nazbyt codzienny, łatwy i dostępny. Nie nosił, jak inni, na głowie papierowej korony i szychowych świecidełek jednodniowego króla. Więc naprózno usiłował czynnie pouczać, że twórcze piękno objawia się nietylko w płótnach malowanych, ale mnożyć się może po wszystkich graniach wielobocznego, wszechogarniającego życia. Ogół „ukształcony" zacieśniał rolę sztuki w życiu do salonowej ozdoby ściennej, cieszącej roztargniony wzrok przechodnia. Żądano od Ruszczyca obrazów tak, jak od aktora żąda się powtarzania jego codziennej roli scenicznej. Żądano błahych rozrywek, przelotnych wrażeń, pokarmu dla próżniactwa lub snobizmu, żądano tego wszystkiego, co tak ochoczo dają publiczności fabrykanci obrazów na metry i producenci literatury na kilogramy. Nie zastanowiono się nad tym, że dla Ruszczyca, jak dla każdego prawdziwego artysty, malowanie obrazu jest przeżyciem głębokim ı rzadkim, że rodzi się w twórczym bólu uczuć nadludzkich, że pochłania całkowicie i odcina od całego świata, że wydziera z trzewi kawałami życie. Za płótnami w złotych ramach, za ich barwną zewnętrznością nie dojrzano męki serdecznych ukochań, z których rodzą się dzieła sztuki. Tak zresztą bywa zwykle.

A Ruszczyc wypowiadał pejzażem nie chwilowe nastroje, jak to czyni tylu innych malarzy, nawet uznanych, — on targał wszystkie struny duszy, zebrane w jeden gigantyczny okrzyk, każda z tych strun dźwię-



czała **pełnym** brzmieniem, dawała **syntezę** jakiejś idei wiecznej. Nie mógł przetoż powtarzać się w swoich obrazach. Przeżywał górne stany duchowe i ich odbicia **raz jedyny** utrwalał w genialnej malarskiej wizji, po czym szedł dalej tam, gdzie go wołał los. Kiedy więc porzucił Kraków, Warszawę, wreszcie swój ukochany Bohdanów dla Wilna, to nie była tylko paszportowa zmiana miejsca pobytu, lecz **przestawienie zwrotnicy na drodze życia.** Ruszczyc osiadł w Wilnie nie po to, aby w niem „mieszkać", lecz ażeby Wilnu służyć. Decyzja ta musiała zapaść w pełni świadomości, jako chwila przełomowa, pociągająca za sobą głębokie przemiany i doniosłe następstwa: wyrzeczenie się dotychczasowych dążeń, a raczej rozszerzenie ich z widnokręgu malarza do zasięgu artysty i obywatela, dobrego syna ojczyzny, całkowite poświęcenie się nowemu powołaniu, odczutemu w sercu i sumieniu. A takie wyżyny nie dopuszczają połowiczności, nie pozwalają pracy na dwóch frontach. Nie można jednocześnie malować „Ziemi" i inscenizować „Lilli Wenedy", lub tworzyć Wydziału Sztuki na Uniwersytecie, gdyż w każde takie zadanie artysta wkłada całą duszę i całego siebie. Dwa równoczesne natchnienia są niemożliwością, a Ruszczyc nigdy nie czynił fraszek ze swego daru Bożego i w najmniejszej pracy był rzetelnym i odpowiedzialnym twórcą. Więc gdy przyszedł w życiu jego okres „służby Wilnu", okres żywienia mas codziennym chlebem sztuki, wszystko inne musiało odejść na stronę, a nie wie nikt, ile obok płomienego fanatyzmu mogło być w tym wyrzeczenia się i samozaparcia.

Tych powodów rzekomego „załamiania się" malarza Ruszczyca nie może do dziś dnia zrozumieć wielu i to jest źródłem sądów opacznych, powierzchownych i niesprawiedliwych. Wilno było zwycięstwym **artysty** nad malarzem, było przerodzeniem się młodzieńca w **męża,** i stanowi tytuł do najwyższej zasługi i chwały Ruszczyca.

Przed czterema laty zachorował ciężko, utracił mowę i władzę w prawej połowie ciała. Po pewnym wydobrzeniu porzucił Wilno i Uniwersytet, musiał rozluźnić wszystkie węzły, jakie go łączyły z miastem i osiąść w Bohdanowie. Był to dla Wilna cios straszliwy, bo jeśli mało ludzi go rozumiało, to kochało go wielu, a lubili i szanowali wszyscy. Dopiero tam, w Bohdanowie, na schyłku lat ciężka niemoc dostarczyła mu tych możliwości i tego czasu, którego dotąd zawsze brakło, czasu, by żyć dla siebie i dla najbliższego otoczenia. Wtedy jął pracować równie gorliwie w ciaśniejszym kręgu domowym. Uporządkował swoją bibliotekę, nieprzebrane zbiory rysunków, szkiców, notatek, dokumentów i pamiątek, spisał inwentarz swego trzydziestodziewięcioletniego dorobku malarskiego, zaczął na nowo rysować, i nawet malować, a to wszystko **lewą ręką,** drżącą w powietrzu bez oparcia łokcia, a mimo to niesłychanie ruchliwą, sprawną i niezawodną, tą samą dawną Ruszczycowską ręką, władającą wszystkimi czarami formy i barwy. Zaczął rysować i malować, zostawił kilkanaście szkiców, ale już dalej nie mógł, bo przyszedł kres...

Przed paroma zaledwie tygodniami spoczął na cmentarzu Bohdanowskim, na sosnowym pagórku wśród grobów swoich przodków. Jeszcze pada od tych sosen żałobny cień, jeszcze szarzeje zmierzch listopadowego dnia, w którym sypaliśmy jemu mogiłę. Jeszcze są oczy pełne mroku poprzedniego wieczoru, kiedyśmy odprowadzali trumnę brzozową aleją ze dworu do kościoła... Było chmurno, mglisto i bezwietrznie. Ciemność rozświecały czerwone płomienie kagańców, rozstawionych po drodze, dłużyły się w ich odblaskach wieloramienne konary drzew, a z obwisłych gałązek spadały duże, ciężkie krople mgły z cichym szelestem: to płakały sędziwe brzozy „Wychodźców" i „Ballady", wierne brzozy Bohdanowskie i żegnały łzami swego dobrego pana, który żył z niemi i kochał je przez całe życie. A on opuszczał „Gniazdo" rodzinne i odchodził „W świat", by przez mogilne ciemnie „Ziemi" wkroczyć do przybytku nieśmiertelnej „Wiosny" i w wieczystej szczęśliwości wyzwolonego ducha zaśpiewać tryumfalne „Nec Mergitur". Szliśmy za skromną domową trumną, przybraną zielonymi gałęziami sośniny, a w bolesnej zadumie tego pochodu, mimo dławiącego żalu ostatniego rozstania, była utajona mocna wiara, że on jest z nami duchem, że nieraz jeszcze objawi się oczom, oślepionym łzami i sercom, upadającym pod brzemieniem smutku...

Ale nie o żal jednostek tu idzie. Ból jest sprawą osobistą — czasem odczuwa się go tym więcej, im mniej o nim mówi. Dziś idzie o wypełnienie czynne Ruszczycowskiego testamentu, o lepszy posłuch tej „sile fatalnej, co zjadaczy chleba w aniołów przerabia". Testament, napisany trudem całego życia został przekazany rodzinie, przyjaciołom, społeczeństwu. Będzie on przytomny w sumieniach wielu i powinien być wypełniony wiernie.

Przy mogile Ruszczyca ozwały się głosy liczne, pełne odczucia i uwielbienia, ale nikt tak nie przemówił jak profesor Karol Tichy, długoletni przyjaciel Zmarłego. „Całe życie Ferdynanda Ruszczyca", — rzekł Tichy — „było modlitwą na klęczkach, posuwającą się ku jakiejś pełnej świętości Ostrej Bramie, za którą widnieje najwyższy imperatyw. U progu, jak liść jesienny, osunęła się z Niego Jego szata doczesna, a On sam, mocny jak słup ognia, pozostaje wśród nas, na zawsze obecny...".

Ale na tej szlachetnej kanwie pojawiły się także nitki pośledniejszego wzoru. W niektórych pismach ukazały się głosy płytkie, zdawkowo wspominające „malarza" i „miłośnika Wilna". Tylko malarza i tylko miłośnika? Wszak tyleż samo możnaby powiedzieć i o dziesiątkach innych zasłużonych i utalentowanych ludzi, którzy jednak nie są godni rozwiązać rzemyka u stóp Ruszczycowych! Taka ocena w stosunku do człowieka wielkiego jest miarą niegodną. Wiąże się ona w akord przedziwnej tępoty i małości z wyrażanemi za jego życia ubolewaniami, że nie maluje on obrazów i marnuje swój talent na drobnostki. Świadczy o zaślepieniu oczu i myśli, nie umiejących wznieść się ku szczytom. Ze zbyt bliska patrzano codziennie na dobrego, łagodnego Ruszczyca, by w człowieku łatwo dostępnym odczuć i uszanować Króla — Ducha.

Dzisiaj czas powiedzieć, że odszedł jeden z wielkich Polaków, jeden z tych, co kształtują duszę gromady ludzkiej i z mgławicy plemiennej wyprowadzają ją na słoneczną drogę samowiedzy narodowej. Czas, byśmy pochylili czoła przed wielkością, odchodzącą w wieczność.

Wszechstronnością widnokręgów myśli i pracy Ruszczyc przypomina Leonarda da Vinci... Ale Ruszczyc — to przy tym ignis ardens, ta piastowska prostota siermiężnego króla, skromna powaga arcykapłana, dla którego trud i miłowanie, radość i obowiązek stanowią jedno. Ruszczyc, to nietylko wielki duch, ale i wielkie serce.

A kiedy mówić tak zniewala poczucie sprawiedliwości, wiem, że czynię to nieskładnie. Non sum dignus... Ale chcę zapoczątkować rehabilitację Ruszczyca z osądów fałszywych i błahych. Chcę, by obok piewcy żywiołowości, mocy i uroku ziemi uznano w nim męża, przerastającego otoczenie duszą wzniosłą i piękną. Chcę dać świadectwo „narastaniu" Ruszczyca w naszych sumieniach. Chcę zrobić początek przyszłych dociekań, z których powinna powstać księga o „prawdziwym Ruszczycu".

Nie poczuwając się sam do tej zaszczytnej możności, chciałem przynajmniej opowiedzieć to, na co patrzałem przez wiele lat własnymi oczami, i wytłomaczyć, dlaczego Ruszczyc przestał malować obrazy na płótnie i wolał tworzyć je z żywych ludzi i zdarzeń, z całego swego ukochanego Wilna.

Zresztą — przed śmiercią pomyślał i o obrazach. Niedawno przysłał mi czterostronicowy arkusz, zawierający spis chronologiczny wszystkich prac malarskich. A uczynił to z powodu zamierzonej przez Wydział Sztuki wystawy Jego dzieł. Ręka drżąca i schorowana z trudem kreśliła długie paciorki wierszy... Wiele musiała się natrudzić ta biedna lewa ręka, zanim dokonała obrachunku wszystkiego, nad czym pracowało nieukojone, gorące serce. Ale ręka mogła wypisać tylko tytuły obrazów i inscenizacyj, — nie podołałaby wyszczególnieniu niezliczonych prac żarliwego żywota. I już go niema...

Ale duch jego nas nie opuści... Myśląc o śmierci, napisał kiedyś: „Wierzę w obcowanie dusz i dlatego wiem, że w godzinach trudu i walki będę z wami. Ale gdy po szafirowym niebie wileńskim pomkną białe obłoki i będzie wam wesoło, wówczas wspomnijcie mnie".

Tak, Ferdynandzie. Będziemy wspominali. Będziemy pamiętali Ciebie zawsze, dopóki życia.

Jan Bułhak

Sowieckie krematorium wolności

Wódz intelektualistów komunistycznych we Francji, powieściopisarz Andrzej Gide, świeżo wrócił z Rosji. Wyjeżdżał tam jako do **urzeczywistnionej utopii,** do idealnej republiki rozumu, pracy, godności i **wolności. Wrócił** przejęty odrazą do **imperium,** rządzonego najsamowładniej w dziejach świata.

Zamiast kultywowanej naukowo wolności, Gide znalazł w Sowietach tylko jej cmentarz, a raczej **nowo-**



czesne krematorium do racjonalnego spalania szczątków wolności, jej **batożonych** i zagłodzonych zwłok.

Czerwony imierializm, okrzyczany na całym froncie ludowym jako oszczercze bluźnierstwo zdeprawowanych dobrobytem klas przeciwko Rosji odrodzonej, — czerwieni się w bezstronnym sprawozdaniu Gide'a krwawym oskarżeniem.

Według świadectw naocznych komunisty francuskiego, **komunizm** w Rosji dzisiejszej został do rdzenia **zbiurokratyzowany** i po mnóstwie eksperymentów społecznych, zrobionych **karkołomnie** i po lunatycku, wrócił na **stary tor,** do starych metod bata.

Ludność zmuszono do pracy niewolniczej w **odrażających warunkach.** Na nowo wprowadzono **pańszczyznę,** ukrytą pod efektownymi nazwami, lecz trzymającą w karbach żelaznych każdego, kto nie należy do biurokracji rządzącej.

Hasła teoretyczne komunizmu, to dziś w Sowietach komunały. Komunista Gide stwierdza, że **nic na świecie tak nie zagraża kulturze, jak stan umysłów w sowieckiej Rosji dzisiejszej.**

Gide'm posługiwano się zazwyczaj jako poręczycielem moralnej zdrowotności komunizmu. Ciągle wołano ustami propagandy: — Oto umysł bezstronny, dostrzegający bystro, że komunizm jest metą, do której dąży prawidłowy postęp. Z nami, z komunistami, idzie Andrzej Gide, zapaśnik o szeroką wolność, o prawo do prawdy dla wszystkich, o wyzwolenie z „pęt" tradycji i religii.

I nagle ten sam człowiek druzgoce krytyką jako **tragiczny bluff** hodowlę człowieczeństwa w Rosji, wymiata przed świat **śmiecie okrwawione,** jako główne wyroby monstrualnej fabryki, **produkującej** programowo **wolność.**

Cios Gide'a był tak silny i nieoczekiwany, ze na chwilę zaniemówił z podziwu obrotny błyskawicznie w języku aparat propagandy sowieckiej. Nawet, o dziwo! — po puszczeniu go w ruch na nowo nie śmiał bluzgnąć na Gide'a anatemą za niekarność, jak to przed kilku laty uczynił z Panaitem Istratim, którego wprost **zaszczuto** za książkę o „Rosji nagiej", chociaż się do samego Romain Rolland'a odwoływał o pomoc w **imię prawdy.**

*

Do komunizmu miał Gide już od młodości predylekcję. Wyznaje sam w „Pamiętniku", że już przed 39 laty, — zaraz po maturze, — czuł pociąg do **koczownictwa** (na sposób europejski, zresztą!) a miał w nienawiści zasiedziałość rodzinną, wierne kochanie i trwałe związki ideologiczne. Czuł w sobie i głosił przed sobą, że „powinniśmy się oddawać do rozporządzenia każdemu **nowemu prądowi.**"

Na zasadzie słów tutaj przytoczonych, trzebaby poczytywać Gide'a za nastrojowca — cygana, wietrzącego bezładne sposobności do lirycznych wylewów. Nie błędniejszego! Gide jest głębokim myślicielem i **moralistą** w swoim osobliwym gatunku umysłowym. Jego włóczęgostwo to szukanie zagadki ludzkości w człowieku, to rozprawa z samym sobą, jako okazem niezbadanej dotąd masy ludzkiej.

Wychowany w tradycjach protestancko - hugonockich, rozprawia się z Ewangelią do dziś dnia. I nawet to, co brzmi dla chrześcijanina bluźnierczo, jest u Gide'a zawsze uszlachetnione szczerością umysłowego wysiłku i odwagą w eksperymentowaniu psychologicznym. Wstręt jego do tradycji i „osiadłości" wywodzi się z gorączki do poszukiwań ruchliwych **sprawiedliwości absolutnej.** Bezdomność jest przecież zwykłą cechą apostołów idei, nie chcących osiąść **przedwcześnie** w niewykończonej jeszcze budowli społecznej. Kto zna „Ludzi bezdomnych" Żeromskiego, ten wniknie bez trudu w styl eksperymentalnej moralności Gide'a, mimo ogromnych różnic między obydwoma pisarzami.

Później, w okresie dojrzałości, Gide głosił **powściągliwość czynu,** gdyż dzieła przytłaczają twórców swymi **formami skończonymi,** a więc **obumarłymi,** bo **żywe jest** naprawdę **tylko to,** co się dopiero **staje.** Odpowiednikiem tego etapu Gide'a były u nas „Sny o potędze" Staffa.

Wsłuchany w szept instynktów i głosów namiętności, Gide uzasadniał potrzebę t. zw. „aktów bezinteresownych", urodzonych z popędu irracjonalnego, ale dających rozkosz wyładowania sił — **choćby zbrodniczo,** — byle żywiołowo, w sposób „wymykający się po za zaporę zwyczajnej psychologii".

Widzimy, że umysłowość tego rodzaju musiała już z przyrodzenia czuć pociąg do zasad komunizmu i do jego zuchwałego eksperymentowania. Nie dziw przeto, że w swoich „Nowych pokarmach" (r. 1935) Gide zbliska zetknął się z Marxem, kiedy pisał: „Nietylko świat trzeba zmienić, lecz i człowieka. Skąd się ma zjawić człowiek nowy? Nie z zewnątrz. Umiej go znaleźć, towarzyszu, sam w sobie... Miej śmiałość stać się tym, czym w istocie jesteś".

W Rosji zastosowano na olbrzymią skalę powyższą radę Gide'a. Jaki jest wynik zbiorowego trudu (19-to letniego!) nad wytworzeniem „nowego człowieka?" — Na to odpowiedź dał właśnie Gide w relacji ze swej podróży, stwierdzając **niewiarogodne ospalstwo psychiczne nowych ludzi** w Rosji, gdzie „czoła nigdy nie zwisały tak nisko, jak dzisiaj".

Wobec oskarżeń Gide'a, zachwiał się w optymiźmie nawet ostrzelany aparat propagandy komunizmu we Francji. P. Moryc Sachs, w najświeższym wizerunku Gide'a, wyznaje, iż:

„**Komunizm dzisiejszy** i jutrzejszy nie jest już w stanie dostarczać wielu umysłom wyzwolonym tych zdrowych i mocnych podniet, jakimi rozporządzał **komunizm wczorajszy.** Gide i wielu innych w takim razie zostali zawiedzeni".

Gdy **impresario** wyraża wątpliwości o powodzeniu, to możemy być pewni, że **impreza zawiodła** sromotnie.

I jeszcze jedno. W Polsce odżywa się gorączkowy werbunek „**autorytetów literackich**" do komunizmu, dla przynęcania do niego szerokich warstw inteligencji pracującej. Niechże powstrzyma zbyt skoczne tempo werbunku głos wiarogodny — komunisty Andrzeja Gide'a.

St. Miłaszewski

Migawki małopolskie

Kraków, w listopadzie.

Rabka, **arriere - saison** 1936: znakomity **Kurort** podhalański, odkryty na dobre dopiero przez niepodległą Polskę, jako że może przedtem nie miał prawa robić konkurencji Marien i innym — badom. Jest zresztą dużo podobieństwa między tą perłą Czechosłowacji a naszego Podhala: ta przepastna kotlina opasana smrekami, jodłami, modrzewiami, a zabudowana po swoich krawędziach bujniejszą jeszcze wegetacją **Neubauten**.

Nad te wszystkie jednak sanatoria, pensjonaty, pijalnie, nad wille nowoczesne, które „większość" i „mniejszość" wzniosły w szlachetnej emulacji, nad kościół nawet potężny w swoim neogotyku, „bajecznie kolorowy" w swojej polichromii, wzniesiony już po wojnie staraniem świeżo zmarłego kanonika Surowiaka, wolę gmach inny, dostojną budowlę z roku 1565 Spytka Jordana, dziedzica Rabki i dziedzica zapewne tradycji tamtego Spytka, co o dwa wieki wcześniej legł był u świętej Katarzyny w Krakowie — smukłą, misterną, pełną antycznej patyny cymetię naszej architektury drewnianej.

* * *

Piję herbatę „pod Gwiazdą". Za szklaną witryną rozciąga się starannie utrzymana polana zdrojowego parku, za nią las krzywoński i malownicze brzegi Poniczanki. Przy drugim stoliku podwieczorkuje inteligencja miasteczkowa.

— Inne to były czasy — mówi gruby, jakowyś radca czy pedagog, zamawiając jeszcze jedną krużę Żywieckiego — inne to były czasy lat temu dwadzieścia. Powiat ten nie był sierotą, miał ojca. Ojcem tym był — starosta, zarazem prezes Rady Szkolnej Okręgowej i t. p. On rządził, on wpływał, on władał. A dzisiaj — co może starosta? Mianuje i rozdaje ordery prezes Legionistów lub inny prezes... To „rzeczywista rzeczywistość".

* * *

Na zielonej łące przed sanatorium wojskowym gonią się chłopaki. Opodal drewniana kaplica. Nad „internistami" z Małopolski czy Wileńszczyzny czuwa brać zakonna św. Benedykta: Belgowie, Francuzi, czy Polacy.

Gdy mijam jednego z tych chłopców, zbliża się do mnie stryj jego, wytworny dyplomata z Zachodu. Aż tu przyjechał ażeby odwiedzić synowca. Mówimy z nim długo o „froncie antybolszewickim" (**frente anti - popular**), o jednotorowej względem niego polityce Watykanu (znakomitego kardynała Pacellego), o niebezpieczeństwie podziału Hiszpanii na który chętnie by się może zgodziła Anglia...

Jeden szczegół opowiada mi nasz dyplomata: nowy i rewelacyjnie doniosły: „Gdy podróżowałem po Weshodzie tej wiosny — w rozmowach z naszymi, obcymi, nawet Arabami czułem ultra - zachwiany prestige Anglii, ale nie znałem jeszcze dokładnie zachowania tego genezy.

Okazuje się teraz, że pewnej nocy październikowej z r., kiedy na morzu Śródziemnem stacjonowała jeszcze flota angielska, lekomyślnie tam wysłana przez ministra Edena — upływało właśnie groźne dwudziestocztero - godzinne **ultimatum** Mussoliniego i dziesięć minut przed północą zjawił się w **palazzo Venezia** ambasador angielski, Sir Eric Drummond, aby rozpocząć pertraktacje. Czyż nie miała tedy racji jedna z gazet amerykańskich, pisząc na temat tego zajścia, że „flota angielska niezwyciężona na morzach od dni Wielkiej Armady nocy tej bez jednego wystrzału pokonana została na zawsze"?

* * *

Pociąg nasz jedzie wdzięczną doliną Raby, mijając przydrożne „Gorce" z królującą pośród nich Babią Górą, której kopuła śnieżna lśni się w słońcu jakby szczyt odległej Fudżijamy. Raba niższa, Mszana dolna — witają nas w kotlinach przedwojenne pałace.

U Chomentowskich w Rabie, u Krasińskich w Mszanie, czujemy się w kręgu polsko - europejskiej kultury. W Rabce zato wpada nam w ręce egzemplarz głośnej powieści innego podhalanina, Zegadłowicza, jako pomnik znakomity akultury powojenno - bolszewickiej.

* * *

Popołudniu zwiedzam odwojowany na żydach i przywrócony świeżo do dawnego **decorum** krakowski kościół św. Agnieszki (w którego zwaliskach niegdyś się oni byli usadowili! Zastaję imponującą budowlę o charakterze rzymskim z bocznymi perspektywami na spatymowane wieże Wawelu i inne, w dalszej zaś kondygnacji — na niebieskawą, jak w Toskanii, linię **colli**, ale, nim dobiłem się do zrestaurowanej i pięknie przyozdobionej przez wojskowość świątyni, iść mi było trzeba ulicą Św. Agnieszki, gdzie ze ścian witała mnie gwiazda Dawidowa, a z okolicy dolatywał piekielny zgiełk meczu „Makkabi"...

K. M. MORAWSKI.

Kulisiewicz

Oglądać możemy w IPS-ie wystawę prac Kulisiewicza, artysty, który na nowo zainterpretował człowieka i w sztuce swej dał nam radość odczucia niewidzialnej prawie, lecz jakże silnej więzi, łączącej naszą cywilizację ze średniowieczem. Zaiste drzeworyt dostąpił nowego dostojeństwa, skoro tyle objawić nim mogło dłuto Kulisiewicza. Dziewięćdziesiąt dziewięć rysunków i drzeworytów, wystawionych w IPS-ie mówi o niezwykłej koncentracji myśli i woli, o niezwykłej osiadłości wyobraźni



Drzeworyt Kulisiewicza — *Mędrzec z Arles*

tego żywego wśród nas wielkiego średniowiecznego artysty. Sztuka jego jest par excellence tematyczna: a temat stale ten sam: z roku na rok tęn sam: Śląsk, Szlembark, jego pejżaz i ludzie. Cykle drzeworytowe: Szlembark (1929 — 1930), Bacówka (1932 — 33), Metody (pięć drzeworytów o człowieku z gór, 1934), Wieś w Gorcach (1935 — 1936). Rysunki: Hanka, Agnieszka, Marynia, Agnieszka, Agnieszka... Znajome dobrze, wielce prawdziwe, potworki ludzkie. Kulisiewicz odświeża sztukę, pomnaża jej środki wyrazu, uwagę i uczucie koncentruje uporczywie na tym samym wciąż światku szlembarskim. Osiadłość duchowa artysty czyni sztukę jego niemonotonną w wyrazie, mimo ustawicznego powtarzania wciąż podobnych warjantów człowieka. Najgorsza bowiem jest monotonia różności zewnętrznej, przy bezlitosnej regularności wewnętrznego banału, dobrze znana monotonia miernej sztuki. Wystawa Kulisiewicza uprzytomnia intensywność interpretacyjną sztuki dobrej. Deformacja, jakiej poddaje człowieka, aby go pokazać, stawia nam go przed oczy tak, jak widzieli swych bliskich artyści, i pobożne dusze średniowiecza. Pokora chrześcijańska, która sztukę ożywiała i przenikała, obejmowała wówczas nie tylko maluczkich, lecz królów i biskupów taką samą miłosierną wizją małości ziemskiej, której aurę opromienia swoich nędzarzy Kulisiewicz. Promienie jego nowoczesnej wizji prześwietlają światek mniejszy lecz duch zostaje ten sam: duch pokory głębokiej i godności ludzkiej jednocześnie. Gdzie zaś jest człowieczeństwo, tam nie ma „proletariuszy". Trudno o większe przeciwieństwa, niż twórczość Kulisiewicza i sztuka graficzki niemieckiej, Käthe Kolnitz, z którą najfałszywiej artystę naszego próbowano dawniej porównywać. Prawdziwe jego pokrewieństwo duchowe jest z twórcami średniowiecznymi, co interpretowali człowieka w rzeźbach katedr i klasztorów francuskich, artystami z Reims, Chartres i Arles.

Sprawy językowe

Dialog o pisowni

JÓZEF: Mów, co chcesz, ale stara pisownia była lepsza!

MARIAN: Która pisownia? Czy przedwojenna Akademii, czy Kryńskiego, czy Akademii wydanie VIII, czy też IX? Otóż to, że jednej, powszechnie przyjętej pisowni w Polsce nie było. Niemal każdy dziennik miał własną pisownię.

JÓZEF: Nie staraj się mnie pognębić erudycją. Na ogół dotychczas wiedzieliśmy, jak pisać i jakoś się pisało, nawet nieźle, chwała Bogu!

MARIAN: Że się j a k oś pisało, to ci przyznam.

JÓZEF: A zresztą, czy koniecznie potrzeba było reformy? Francuzi i Anglicy mają stokroć gorszą pisownię od naszej i wcale się tym nie martwią, a u nas, gdzie się przecież tak pisze, jak się wymawia...

MARIAN: Przepraszam, że ci przerwę, ale tu nie masz zupełnej racji. Pisownia nasza jest tylko częściowo f o n e t y c z n a, w znacznej zaś mierze h i s t o r y c z n a, t. zn. odzwierciedla dawniejszy stan językowy, a również i m o r f o l o g i c z n a, t. zn. uwydatnia związek z pokrewnymi wyrazami. Spróbuj napisać jakieś zdanie w transkrypcji fonetycznej, a zobaczysz, jak to będzie cudacznie wyglądało. Powiedziałeś np. przed chwilą: chwała Bogu. Otóż chcąc oddać twoją czysto warszawską wymowę, musiałbym wyraz „chwała" napisać: „chfaua" — Polacy z innej dzielnicy przeczytają ten wyraz: „chwaua", inni znów „chfała", a tylko nieliczny procent będzie go tak w y m a w i a ł, jak go wszyscy p i s z e m y.

JÓZEF: Chcesz przez to powiedzieć, że pisownia powinna być kompromisowa?

MARIAN: Tak jest! Niepodobna zmusić wszystkich do zupełnie jednakowego wymawiania: jest to i niepotrzebne i byłoby zubożeniem naszej mowy, ale do celów praktycznych musimy wszyscy posługiwać się jednym sposobem pisania. Niech sobie Pomorzanin mówi po swojemu, a Wilnianin po swojemu, ale niech piszą jednakowo. W Chinach pod tym względem jest znacznie gorzej, a i tam przecież pismo stanowi łącznik między różnymi gwarami.

JÓZEF: Czy sądzisz, że obecna pisownia nasza jest szczęśliwym kompromisem?

MARIAN: Na ogół tak. W Komitecie Ortograficznym zasiadali przecież i językoznawcy, z najlepszym znawcą gwar profesorm Nitschem na czele, i literaci, i pedagodzy. Czy sądzisz, że to i ja wymyślilibyśmy coś lepszego, coś, co by znalazło powszechniejsze uznanie, co byłoby praktyczniejszym rozwiązaniem rozmaitych trudności, o których ogół piszących i krytykujących przeważnie nie ma pojęcia?

JÓZEF: Zapewne, ale przyznasz, że i na tym słońcu, które cię tak oślepia, są przecież i plamy. Po co np. pozmieniano w niektórych poszczególnych wyrazach pisownię, do którejeśmy się przyzwyczaili. Dlaczego raptem „żóraw" stał się „żurawiem", a „pasorzyt" — „pasożytem" i t. p.? To chyba na nic nikomu nie było potrzebne!

MARIAN: Masz słuszność, to są igraszki bogów, które trudno zrozumieć. A już ten słowniczek na końcu przepisów dodany!... Ale pociesz się, że tobie przynajmniej w imieniu „ó" zostawiono — nie tak jak biednemu Jakubowi! Ja bo nie mogę się jeszcze przyzwyczaić do mojej obrzezanej joty!

ARTUR CHOJECKI.

U żydów

KTO MA WPŁYWY?

W ciągu sierpnia i września odbywały się na terenie całego kraju wybory do rad i zarządów żydowskich gmin wyznaniowych. Prasa zadowoliła się podaniem tylko fragmentarycznie wyników i to wyłącznie z największych gmin żydowskich jak warszawska, łódzka i t. d.

Podajemy więc te wyniki w całości, gdyż dopiero wówczas możemy zorientować się jakim wewnętrznym przemianom uległo ostatnio społeczeństwo żydowskie. Otóż wybory w **335 gminach małych** na terenie 12 województw dały według ugrupowań politycznych następujące wyniki: ortodoksi i Aguda uzyskały 42% ogólnej liczby mandatów, 2) bezpartyjni 23.2%, 3) sjoniści 29.4%, 4) Bund 3.3%, poniżej 1% inne partie jak fołkiści i t. d.

Natomiast w **45 gminach wielkich** na terenie 10 województw uzyskali 1) ortodoksi i Aguda 30,6%, 2) sjoniści 36.6%, 3) bezpartyjni 18%, 4) Bund 11.8%. Bezpartyjnych należy zaliczać w małych gminach do ortodoksów, w wielkich do sjonistów.

Z całokształtu wyborów wynika, że sfery religijne dominują nadal w masie żydowskiej, natomiast wśród inteligencji sjoniści. Mimo dużego wysiłku sjonizm nie ogarnął szerszych mas. Te coraz bardziej przechodzą pod komendę komunizującego Bundu, uważającego ludność żydowską w Polsce za „tubylców". Na tym samym stanowisku stoi też Aguda i Orrodoksi. Jakżeż więc plan y emigracyjne Żabotyńskiego i Grünbauma znajdą poparcie w społeczeństwie żydowskim.

SIEĆ PISM NAD ŚWIATEM

P. Dr. A. Koralnik drukuje na łamach pisma „Tog" (N. Jork) artykuł: „Walka czy obrona". Wybiera — walkę i krytykuje „Kurier żyd."", uważając, że zaraz po skończeniu obrad powinien był „kongres" wziąć się do roboty.

„Wystąpić do światowego żydowstwa z żądaniem: daj nam budżet 10 milj. dol. rocznie i my zaczniemy prowadzić walkę. My żądamy dlatego tak dużo pieniędzy — gdyż my chcemy stworzyć sieć pism nad całym światem — i przez stacje radiowe chcemy zaangażować cały sztab pisarzy, którzy będą walczyć swymi piórami, i mówców, którzy będą oddziaływać swym słowem; my chcemy wysłać emisariuszy do wszystkich krajów, którzy będą szukać krajów emigracyjnych dla żydów; my założymy wszechświatową izbę handlową — ja mógłbym wyliczyć szereg punktów programu tej aktywnej walk... Ale kongres był skromny. On żądał budżetu 75.000 dol. rocznie, a cóż można zdziałać z takim teoretycznym budżetem? Jak można prowadzić walkę na dalekiej światowej linii frontowej, z tak śmiesznie małą sumą?"

„Świat tworzy się — lecz przeciw nam!" I nie chodzi już więcej o teoretyczne zagadnienie, lecz o całkiem konkretne interesy: albo my walczymy jak ludzie i zwyciężamy — albo zostaniemy roztarci między kamieniami, roztarci jak ziarnka — na proch"". (Podaje „Moment" Nr. 263. 1936 r.)

NIE DAWAĆ PRAW OBCYM

„Po tysiącach lat prześladowań wolno nam przecież nareszcie budować zgodnie z naszą wolą, naszą własną Ojczyznę.. W mandacie (nad Palestyną) — pamiętać o tym dobrze należy — niema wcale mowy o równości politycznej. Myślą przewodnią mandatu... jest odbudowa Żydowskiej Siedziby Narodowej t. zn. przywrócenie władztwa żydowskiego w kraju. Mandat nie żąda od nas, byśmy dzielili władzę w kraju z Arabami na zasadach „parytetu"... Oni — obcy żądają, niechaj postąpią tak jak chcą, lecz my sami, naszymi ustami nie wypowiemy żadnego ustępstwa od naszych praw narodowych i religijnych." — pisze żydowska „Trybuna Narodowa" — Nr. 45 z 1936 r.

Nie dawać w swojej ojczyźnie praw obcym. Słuszna zasada.

Prof. Taubenszlag i inni...

Prof. prawa rzymskiego na Uniwersytecie Jag. p. Taubenszlag zwierzał się przed kilku laty, iż przyszła do niego delegacja Żydów prosząc by został kuratorem ich stowarzyszenia. „Panie kolego, czego te Żydy od mnie chcą, mnie jest bliższy Wawel niż Jerozolima". A obecnie jest ich kuratorem a do „rozsadzających" Polaków woła: „Spotkamy się przy egzaminie!".

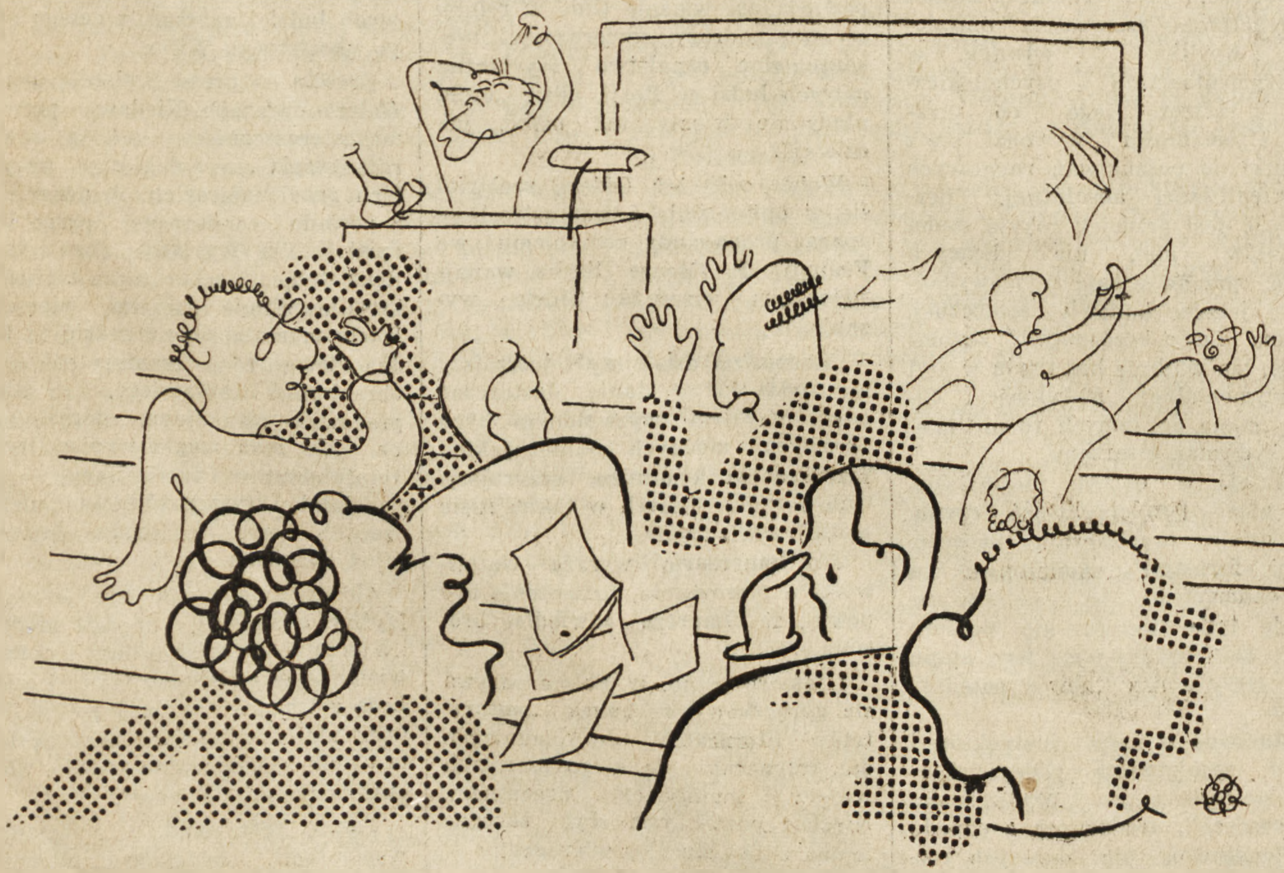
Medycy krakowscy spotkali się z oporem prof. Szantrocha, który z powodu „rozsady" zawiesił wykłady. Prof. Walter natomiast więcej okazał dumy narodowej, ponieważ wykład swój odwołał, oświadczając, iż „tylko dla Żydów wykładać nie będzie". Znanemu uczonemu pedjatrze głośnemu ze swych wystąpień w kwestji żydowskiej prof. Lewkowiczowi przysyłali Żydzi wyrok śmierci. Czego tam nie było! Oczywiście za wzór do naśladowania podano mu młodego prof. Szantrocha.

W Przytyku

Małachowski w liście do Branickiego pisał: „W PRZYTYKU, dobrach kasztelana Czechowskiego, gdy podczas jarmarku zbraniali się przedający brać według dawnej kurencji pieniędzy, chłopstwo, zbuntowawszy się, na całe miasto uderzyli, Żydów kilku ranili, sklepy poodbijali, sukna, żelaza, czapek i innych ruchomości nabrawszy, ledwie przez ichm. szlachtę uskromnieni zostali, iż większych nie czynili tumultów". Działo się to w XVIII w.

(cytuje: Wł. Konopczyński „Polska w dobie wojny siedmioletniej" cz. II).

Przed „rozsadzeniem"



Tumult

Po „rozsadzeniu"



Spokój

SPORT

Trybuny i bieżnie

Skala pojęcia sportu jest ogromnie rozciągła, obejmuje się niem zarówno ranne ćwiczenia gimnastyczne w pokoju, jak emocjonujący tłumy publiczności mecz piłkarski zawodowców. W tak więc szerokiej skali trudno o właściwe określenia, łatwo o całkowicie sprzeczne poglądy na znaczenie sportu.

Dyskusja, co jest właściwą formą sportu, — czy sam jedynie ruch i trening mięśni oraz ćwiczenia bez względu na wynik i postępy, czy też sport zawodniczy, walka z czasem i przestrzenią wymagająca skoncentrowania wysiłku i dająca uprawiającemu cel konkretny, jakim jest pokonanie współzawodników, — została już chyba bezapelacyjnie rozstrzygnięta. Istotą sportu jest bowiem nie tylko rozwijanie mięśni, lecz również kształcenie woli i charakteru, ducha walki i wytrwałości, zaprawianie do przetrzymania zmęczenia i depresji, i wreszcie łączenie z siłą i techniką, taktyki i planu walki. A te niezbędne czynniki wychowawcze może dać przecież jedynie współzawodnictwo i dążenie do postępu.

A dalej: sport nie tylko ma te zadania wychowawcze i wzmacniające, ma być pozatem dla uprawiających rozrywką po zakończeniu zawodowych zajęć i pewnym oderwaniem się od trosk życiowych, ma dać swą swobodą i zbliżeniem do przyrody większą radość życia, ma to życie tak dziś zmechanizowane okrasić. A to wszystko osiągnąć można w pełni jedynie w atmosferze współzawodnictwa, przez powiększenie swych możliwości i sił. Najbardziej przecież męczący bieg czy przegrana nawet rozgrywka najwięcej może dać zadowolenia i radości życia. I dlatego aktualną wciąż będzie stara olimpijska zasada „altius, citius, fortius". Nie potrafią jej w niczem osłabić najbardziej nawet krańcowe przykłady o szkodliwości współzawodnictwa dla zdrowia tego czy innego zawodnika, przykłady te są bowiem nie tylko krańcowe, ale i nieliczne, nie unicestwiają tego, co współzawodnictwo i walka o wynik daje pozytywnego.

Aktualne jest jednak wciąż inne zagadnienie, poruszone ostatnio przez prof. Dr. E. Piaseckiego: sport z publicznością, czy bez publiczności. Prof. Piasecki wypowiedział się mianowicie za uprawianiem sportu zawodniczego na boisku, ale bez widzów i bez trybun, wskazując na to, że ta publiczność nie jest w sporcie, mającym za zadanie podnosić kulturę fizyczną, potrzebna, i że jej krzykliwy wpływ działa demoralizująco i paczy zadania i cele sportu. Zagadnienie to poważne i niezupełnie łatwe do rozstrzygnięcia, o ile się naturalnie do niego uczciwie podchodzi. Bo przecież jest dużo racji w twierdzeniu, że skoro chodzi o podniesienie poziomu fizycznego czy psychicznego narodu, to niepotrzebna jest widowiskowa strona sportu, wrzaskliwe trybuny i klaka kibiców. Z drugiej strony są jednak istotniejsze i bardziej przekonywające racje: Sport jeśli ma spełniać zadanie podniesienia kultury fizycznej narodu musi być masowy, a masy najlepiej zachęcić do sportu przez pokazanie im wpierw emocjonujących wa... z trybun. A dalej, sport spełnia niedocenianą naogół ogromną rolę przy zespalaniu psychicznym poszczególnych warstw społeczeństwa: więcej bowiem nad patriotyczne wystąpienia i hasła dać może tutaj wspólna emocja reprezentacyjnej loży i najtańszych trybun, niepokojących się o wynik biegu Kucharskiego z Edwardsem lub zwycięstwo polskiej drużyny. A tego tak silnego czynnika nie wolno się nikomu dobrowolnie pozbawiać.

Nie szkodzi to dalej zupełnie, że sport, spełniając zadania wychowawcze, staje się równocześnie widowiskiem. Raczej przeciwnie, powiększa to jego znaczenie. Widowisko bowiem takie, dostępne i zespalające najszersze masy w podziwie nad hartem i siłą najlepszych, w uznaniu rzetelnych wysiłków nawet pokonanego, — musi być przez naj większych nawet przeciwników tłumu i gwaru odpowiednio oceniane. Oczywista, że konieczna jest tutaj zdrowa i czysta atmosfera wśród tych, których się ogląda i oklaskuje, czysto w stosunkach sportowych i na samej galerji.

I dla tego ostateczna konkluzja musi być taka: dobry jest sport zawodniczy, uprawiany przez jak najliczniejsze rzesze, wobec mas widzów, emocjonujących się walką o prymat, toczoną w czystej i zdrowej atmosferze.

P. Warm.



Więcej odwagi

Niemiecki Związek Lekkoatletyczny zaproponował polskiemu rozegranie w sierpniu przyszłego roku ewent. w Warszawie spotkania lekkoatletycznego Polska — Niemcy. W związku z tą propozycją odezwały się w prasie głosy, że wobec wysokiej i wyrównanej formy lekkoatletów niemieckich spotkanie to zakończy się napewno naszą przegraną w kompromitującym stosunku, że więc należałoby dla ratowania „honoru" polskiego sportu z spotkania tego zrezygnować. Rozumowanie takie jest niesłuszne i niewłaściwe. Przewaga bowiem niemieckiego sportu nad naszym jest bardzo duża i nie można mieć wątpliwości, kto w spotkaniu tym zdobędzie większość punktów, w szeregu jednak konkurencji przedstawiciele nasi nie tylko dorównywają najlepszym Niemcom, lecz nawet górują nad nimi mniej czy więcej wyraźnie. Dotyczy to przede wszystkim Nojiego i Kucharskiego w biegach oraz Sznajdra i Luckhausa w skokach. Również i Lokajski, Turczyk, Pławczyk i Heliasz mogą liczyć na zwycięstwo w swych konkurencjach.

Poza tym nie ma chyba przecież gorszej metody odsłaniania swej słabości i braków, jak unikanie spotkań z silniejszymi przeciwnikami.

Stanowisko więc tych, którzy odradzali podjęcie rzuconej nam przez niemieckich lekkoatletów rękawicy, nie może tłomaczyć nawet „poolimpijska" depresja. Ponieważ zaś chodzi tu o hitlerowskie Niemcy, mimowoli cisną się analogie z ogłoszonym swego czasu przez pewne nie... aryjskie sfery, niefortunnym bojkotem Olimpiady.

DYKTATURA EWY

Zmierzch salonu

Olbrzymia landara z froterowaną posadzką, trzy okna od frontu zakutane w ciężkie portiery, tapeta bordo w złote liście, to był **salon**, chluba naszych babek.

Sanktuarium odwiedzane rzadko, pełne złoconych stolików z albumami, zakurzonych palm, fikusów, serwantek z porcelaną „od gości", obrazów, fotografij, żardinierek! W kącie czarne pudło fortepianu, przy którym panna domu ćwiczyła „modlitwę dziewicy", a pod kryształowym żyrandolem, wokół okrągłego stołu, dostojne grupki pluszowych foteli. Drobne wypadki dnia rodzinnego rozgrywały się poza jego ścianami. Salon był sceną wielkich jedynie wydarzeń: obrzędów rodzinnych i ceremonialnych wizyt.



Ale zmieniły się formy życia i salon, w dawnym tego słowa znaczeniu, z całym swoim zbiegowiskiem bibelotów, zgasł na uwiąd starczy. Znikł też buduarek, „świątynia dumania", gdzie wydawszy rozporządzenia licznej służbie, piękna pani marzyła w świetle różowego abażuru i zabijała nudę poetyczną lekturą.

Dziś nie ma na to czasu. Pani, piękna czy nie piękna, pracuje. Z domu wychodzi nie tylko na spacer czy za sprawunkami. Wraca zmęczona. A czeka ją znowu robota, bo służąca to często luksus. Dlatego mieszkanie, przeobraża się, kurczy często w jeden, wszystko zastępujący **living - room, bawialnię**, pokój, w którym się bawi, czyli poprostu przebywa. Zapanuje tam jedynie chłodny rozsądek. Trzeba jeść — więc stół, stołki, trzeba spocząć — więc tapczan, trzeba czytać — więc lampa silna jak reflektor i fotel, w którym można rozsiąść się wygodnie. Linie proste, żeby uniknąć kurzu, zamiast drzewa — metal, zamiast tapet — farba olejna, na podłodze hygieniczne linoleum. Rozsądek narzucił hasło: praktyczność i wygoda. Ale, że kobieta nie umie długo być **tylko** rozsądną, więc szybko dodała: wykwint, pomysłowość!

Z tych elementów powstała Sztuka nowoczesnego wnętrza. Tak, Sztuka przez wielkie S. Szczupłość dzisiejszego mieszkania wymaga nie wielu sprzętów, za to tym większej ich doskonałości. Brak gustu, tandeta, rażą bardziej niż kiedykolwiek. To też obecnie, tłum plastyków, po całym świecie, poświęca swój talent dekoracji wnętrza, a setki wspaniałych wydawnictw popularyzuje ich osiągnięcia, urabia smak i wrażliwość estetyczną pań domu.

Pod wpływem fantazji artystów powoli zmiękł pierwotny purytanizm. Ścisła hygiena i praktyczność ograniczyły się do łazienki i kuchni podobnej do małego laboratorium. W living - room formy zatraciły sztywność a kompozycja barwna nabrała finezji. Ten pokój — kameleon różne przybiera postacie. Raz jest połączeniem sypialni z gabinetem, to znów stołowego z biblioteką, albo wszystkiego naraz. Jeżeli jest mały, często ściany i sufit bywają jednego koloru, jasnego w tonie, co daje wrażenie większej przestrzeni. Jeżeli słoneczny, chłodzi się go zielenią, jeśli ponury, ożywia blaskiem gamy złoto - żółtej. Gdy ma służyć nie do pracy, a do odpoczynku jedynie, bywa cudowny, pomyślany tylko w najbardziej rozpiętej skali białości: od śmietankowego dywanu, kanap jasno beige, do srebrzystości luster i opłatkowego sufitu. (Psom wstęp wzbroniony!)

Czasami pokój komponuje się jako tło dla motywu głównego, pięknego obrazu, i kolorem ściany, oświetleniem, rozmieszczeniem sprzętów, podkreśla wartość dzieła. Kiedyindziej szlachetny antyk może nadać ton całemu wnętrzu.

Bo oto z początku ostrożnie, potym coraz śmielej zaczęły do współczesnej bawialni powracać duchy z przeszłości. Obok modernistycznych, niziutkich stoliczków, pojawiły się berżery i filipy i — dobrze im z sobą! Powracają puszyste dywany, draperie u okien, kwieciste materie. Nasz „Ład" hołdujący kiedyś przeważnie wzorom symetrycznym, tworzy teraz istne bajki ze lnu i jedwabiu, pełne pląsających rybek, gonitwy psów myśliwskich, drobniutkich kwiatków i liści. Makaty te przypominają perskie miniatury i godne są w najwykwintniejszym living - room, zdobić ścianę ogołoconą z pokrywających ją dawniej „landszaftów".

Nie trzeba bowiem zapominać, że mimo powrotów do przeszłości, nie wszystkie stare rekwizyty zyskały znów prawo obywatelstwa. Każda epoka miała swoje piękno i brzydotę, drogowskazem musi nam być smak i rozsądek. I myślę, że choć moda ma słabość do laków i turniurek, choć w Paryżu odżyły znowu pikowane, frenzliste mebelki, to jednak nie damy się skusić z powrotem do dusznej dżungli dawnego salonu, której nie dałby rady nawet elektroluks!

EWA.

Co jest i co będzie

Przegląd tygodnia

Teatry dramatyczne

G r a d p r e m i e r spadnie w tych dniach na Warszawę. Już dudnią deski sceniczne od reklamy: „Żołnierz Królowej Madagaskaru" w odnowionym (krojem Cyrulikowym) uniformie stanie rychło na baczność w teatrze L e t n i m przed Warszawką.

Będzie to pierwszy „chrześniak wojenny" J. Tuwima, który go wziął na wychowanie od ojca Dobrzańskiego. Zobaczymy, czy Tuwim dobrze nauczył chrześniaka prezentować karabin.

A w C y r u l i k u za to Junosza Stępowski wystąpi jako „Król z parasolem".

Nadchodzi „Lato w Nohant", więc już robi się nam gorąco z emocji. Ziembiński zagra Szopena, (czy Radio nada ten recital?). Jego uwodzicielską partnerką będzie p. Maria Przybyłko, jako wcielona George Sand w teatrze M a ł y m.

Jarosław Iwaszkiewicz zadebiutował na scenie „Romeem i Julią", dziś — wytrawną już ręką — wprowadza na nią drugą parę kochanków.

„Cyganeria Warszawska" Nowaczyńskiego w wykonaniu starej gwardii N a r o d o w e j sceny ukaże się 1-go grudnia w reżyserii dyr. Solskiego, który jednocześnie przygotowuje w Łodzi „Fryderyka", przelatując z próby na próbę samolotem.

O uczczenie rocznicy Listopadowej zatroskał się dyr. Szyfman. Wystawia on w t. P o l s k i m przepiękny sen Żeromskiego o „Sułkowskim". Bohaterem tytułowym będzie Osterwa, zaliczający tę rolę do najlepszych w swoim repertuarze.

Zaraz po sztuce Żeromskiego — nowa reinkarnacja Beaumarchais'a. „Wesele Figara" zmierzy się na punkty z „Weselem" Wyspiańskiego, a z Węgrzynem — Węgierko, jako Figaro i jako reżyser.

Zuzannę po p. Przybyłko dziedziczy Romanówna, Cherubina gra Wasiutyńska, parę hrabską — Lindorfówna z Chodeckim, Gąskę Zelwerowicz, Marcelinę — Malynicz.

A t e n e u m ma w próbach „Woźnego i Ministra". Premiera w początku grudnia. Obsadę stanowią: Broniszówna, Pośpiełowski, Daniłowicz, Łuszczewski i Bykowska. Reżyseruje Perzanowska. Jaracz będzie woźnym, który ma syna ministra, choć długo nie wie o tym szczęściu.

Następnie w „Ateneum" „Ludzie na krze", współczesna sztuka czeskiego autora Wilhelma Wernera, już grana z powodzeniem prócz w Pradze, — Wiedniu i Łodzi, gdyż te dwie metropolie podały sobie ręce nad głową Warszawy.

Tematem „Ludzi na krze" są rozterki między rodzicami a dziećmi w czasach bezrobocia i chronicznych wstrząsów społecznych. Jaracz w tej sztuce mieć będzie duże pole dla swej wnikliwości psychicznej.

U M a l i c k i e j bunt publiczności nie daje zdjąć z afisza „Profesji pani Warren".

Tylko Rumunia na tym traci, bo jej „Zamieszaj" siwieje, nie mogąc się wtłoczyć na scenę! Szczęśliwa Karowa Dama, — tak trzeba dziś nazywać — panią Malicką, — jako g e n e r a ł o w a t e a t r u, zwyciężyła nawet pecha, który się dotąd na Karowej gnieździł.

* * *

W teatrze Kameralnym w dalszym ciągu grane jest „Wróble gniazdo" w reżyserskiej oprawie Karola Adwentowicza i z jego piękną kreacją w dużym stylu. O premierze następnej jeszcze niema wiadomości.

Laik.

Muzyka

Z OPERY

Przybywa do nas na emocjonujący występ gościnny Teodor Szalapin. Niezrównana barwa jego głosu, zarazem tęga i słodka, przypomnała zawsze złoty Tokaj, tem lepszy, im bardziej wystały. Będzie się nim poiła Warszawa — aż do zawrotu głowy — w sobotę. „Borys Godunow" to najpiękniejsza partia znakomitego Rosjanina, — oby ją wygrał! Jako Dymitr Samozwaniec wystąpi Ignacy Dygas, w otoczeniu najlepszych sił naszej opery.

Z OPERETKI

Teatr „8.15" (ul. Śniadeckich) „Gaby" — operetka Grüna w 3-ch aktach.

Akt pierwszy dzieje się w karczmie, oczywiście na Węgrzech. Wszyscy szaleją za robotnicą, niejaką Jadzią Kovan, która zadaje wszystkim chłopcom lubczyku. Między innymi szaleje za nią straszliwy Węgier z ogromnymi kolczykami w uszach i srebrnymi kutasami przy czerwonych butach, Franek. Franek pije z rozpaczy, a porzucona przez niego „czarnobrewa" tańczy wrzeszcząc od czasu do czasu: „Co ci się tak ta szantrapa spodobała". W „międzyczasie" na scenie zjawia się wielki dyrektor teatru rewiowego z całą hałastrą, czyli swoją trupą. Usłyszawszy głos Jadzi (Lucyna Szczepańska) angażuje ją do swojego teatru proponując oszałamiającą pensję 1500 franków szwajcarskich (głupia dziewczyna pojechałaby i za dwieście). Jadzia początkowo wzdraga się, boi — jest przecież biedną dziewczyną wiejską i tylko mimowoli zadaje chłopcom, począwszy od dyrektora, tego lubczyku... (dlatego zapewne w przeciwieństwie do swych koleżanek — robotnic chodzi w jedwabnych pończochach). Wreszcie ulega i — jazda. Dyrektor jest zadowolony, girlsy mniej.

Akt drugi już po trzech latach w Paryżu. Jadzia jest już „Gaby" podziwianą, wielbioną. Na scenę wciągają nowe akcesoria: podstarzałego lowelasa w szarych gietrach — fabrykanta trykotażów Bibi, oraz chorującego na tabes markiza, który opowiada, iż w klubie jakiś młody oficer attaché króla Katalonii spoliczkował innego faceta, ponieważ tamten źle się wyraził o „Gaby". „Gaby" usłyszawszy to, dochodzi do wniosku, iż wielka miłość, której oczekuje — nadchodzi. Każe sprowadzić natychmiast, w nocy, tego oficera, który „okazuje się być królem" i tak dalej...

Operetka wystawiona przez teatr „8.15" posiada parę wcale ładnym motywów. Niestety, z „Maricy": „Ach, jeźcie do Waraszdin, jak najprędzej do Waraszdin za takie przedstawienie!"

R. z G.

Z SALI KONCERTOWEJ

W niedzielę o godz. 12-ej w poł. odbędzie się 9-ty Poranek Muzyczny. W programie Uwertura „Ifigenia w Aulidzie" Glucka; „Suita Baletowa" Rameau - Motil'a; „Koncert fortepianowy d-moll" Mozarta i „Symfonia Wojskowa" Haydna.

Batuta kapelmistrzowska w rękach Zofii Godlewskiej, która dyrygować będzie orkiestrą Filharmonii. Solistą jest Józef Wagner (fortepian).

Artur Rubinstein i Willy Ferredo

Piątkowy koncert Filharmonii Warszawskiej stanowi bez wątpienia jedno z największych wydarzeń tegorocznego sezonu muzycznego. Połączenie występu dwóch artystów tej miary co Rubinstein i Ferrero gwarantuje koncertowi najwyższy poziom. To też figurujący w programie koncert d-moll Brahmsa, który odegra znakomity pianista z towarzyszeniem orkiestry pod dyr. słynnego włoskiego kapelmistrza — zapowiada się wspaniale. W symfonicznej części koncertu wykonane zostaną dzieła, które dadzą kapelmistrzowi szerokie pole do popisu: Beethovena — „Egmont", R. Straussa — „Don Juan" i Rospighiego — „Pini di Roma". Koncert rozpocznie się o godz. 20.15, będzie transmitowany przez P. Radio.

*

W KONSERWATORIUM

W poniedziałek, 30 listopada o godz. 20.15 Recital na dwuklawiaturowym fortepianie MOORA w wykonaniu pianistki angielskiej Winifred Christie.

W środę, 2 grudnia o godz. 20.15 Recital skrzypcowy JACQUES THIBAUD.

W sobotę, 5 grudnia o godz. 20.15 Recital skrzypcowy OSKARA SCHUMSKY.

Kino

„PO BURZY" W FILHARMONII

Film rozpoczyna się sceną w więzieniu kobiecym. Jedną z uwięzionych proszą do naczelnika — ten jej oznajmia, że naskutek nienagannego zachowania się, zostaje zwolniona. „Jestem niewinna..." — „Wszystkie tak mówicie, ale co zrobisz z sobą, moje dziecko?"

Jedzie do Wiednia. W Wiedniu ma siostrę, bliźniaczkę, słynną artystkę rewiową. Zjawia się więc w jej pysznych apartamentach, sprawiając modnej „gwieździe" duży kłopot. „Gwiazda" nie chce mieć nic wspólnego z siostrą kryminalistką. Myśli, co z nią dalej robić — tymczasem daje jej gorzką gościnę, następnego dnia jednak zaprasza na wycieczkę żaglówką po jeziorze. Gwałtowna burza staje się powodem katastrofy. „Gwiazda" tonie, siostra kryminalistka zostaje uratowana.

Tu się rozpoczyna powikłanie akcji. Wszyscy, całe otoczenie bierze ją za siostrę i nie wierzy jej zaprzeczeniom, uważając, że „gwiazda" przeszła widocznie bardzo silny wstrząs. To „qui pro quo" ma charakter dramatyczny, jest właściwym węzłem całej akcji. Dalej nie wiemy, za co i dlaczego skazana została bohaterka na więzienie. Akcja jednak powoli zmierza ku temu. Zjawia się prokurator, młody i przystojny, również trwający w powszechnym błędzie. Nawiązuje się miłość, nowy element akcji filmu. Siostra-kryminalistka gra już świadomie rolę swojej siostry, nie chce jednak występować, motywując to wstrząsem, doznanym podczas katastrofy. Cień zmarłej krąży wszakże wokół niej, mszcząc się za przywłaszczenie osobowości. Dalsza akcja już w żywym tempie zmierza do końca oczywiście „szczęśliwego". Kryminalistka okazuje się rzeczywiście niewinną ofiarą splotu okoliczności.

Film, jak widzimy, kryminalistyczny, z bardzo słabym motywem detektywistycznym. Może to sprawia, że patrzymy na niego bez specjalnego znudzenia, choć z góry można przewidzieć wszystkie perypetie, — ale też i bez zaciekawienia tokiem akcji i zagadką zbrodni. Jedyny moment — zjawa siostry, świetnie zrobiony — to próba nastrojenia filmu na sensacyjno po „frankensteinowsku". Film psuje bardzo niepociągająca postać bohaterki, Luiza Urich jest typem pospolitej, bardzo nie rasowej Niemki. Nie budzi sympatii więc niezbyt współczujemy z jej losem. Natomiast Gustaw Diersi dobry, bardzo męski. Wogóle Niemcy mają dobrych aktorów, wyróżniających się doskonałą aparycją i warunkami zewnętrznymi.

St. Niec.

II-gi konkurs „Podbipięty"

Dialogi zagadkowe

Wyobraźmy sobie, że włożyliśmy czapkę - niewidkę: niepostrzeżeni przechodzimy ulicą, przenikamy do mieszkań prywatnych, do kawiarni. A oto garstka podsłuchanych dialogów na temat naszej prasy:

1.

— Ho, ho, szkoda...
— Co się stało?
— Pieglasiewicz umarł.
— Który?
— No, ten, znany... Ależ ważna była figura! Pięć razy umarł. Na dwuch kolumnach rozpisały się o nim instytucje, w których pracował. O, widzisz? Prezes Iksu, członek Rady Nadzorczej Zetu, Dyrektor Ygrek - polu.... Pod nekrologami podpisani koledzy, pracownicy, przyjaciele, rodzina... No i już po nim
— A ty go znałeś?
— Ja nie. Ale zawsze lepiej o kimś się dowiedzieć późno, niż nigdy...

2.

O n a: — Znowu zaczynasz? Doprawdy mam już tego dość!
O n: — O, i ja również!
O n a: — W takim razie możemy się rozejść.
O n: — Doskonale.
O n a: — Coo? Czekaj, jeszcze będziesz żałował. Bardzo jestem ciekawa, jak ty sobie bezemnie dasz radę w życiu.
O n: — Jak? (pokazuje pismo).
Widzisz, tu wyraźnie stoi w dziale matrymonialnym: „Kolosalny wybór bogatych pań i panów.. Dyskrecja zapewniona.. Fotografie do zwrotu pod gwarancją... Oferty pod X. Y. Złożę ofertę i będę miał z czego wybierać.

3.

— ...dziesięć grooo...
— ...dziesięć grooo...
— Pssst! Mały! Daj no tu! Ale ale, zaczekaj chwilę....
Mężczyzna, czy też niewiasta rozkłada pismo, przerzuca wzrokiem szpalty:
— Co? Niema W......? Na urlopie? Znakiem tego nie biorę. Dawaj z powrotem dziesięć groszy.

4.

Pan o stroskanym obliczu pije kawę w cukierni:
— Znów biała plama... Artykuł wstępny skonfiskowali. Oho, i w tekście świecą dziury! Pewnie było znowu coś na masonów.
Kolega wzdycha. Pan mówi po chwili, przejrzawszy pismo:
— Odczyt o sytuacji politycznej nie odbędzie się. Starosta cofnął pozwolenie na Zjazd... Żydów nasi na przedmieściu pobili.. Autobus wpadł do wody i zginęło piętnaście osób... Giełda od soboty widać nieczynna, bo kursów nie podali... Rosja wystosowała notę...
Kolega, nieśmiało:
— Ale... przecież to wszystko było już kilka dni temu w innych pismach...
Pan, urażony:
— W innych? Ja czytuję tylko nasz organ.
Odkłada gazetę i stuka:
— Kelner, płacić. Jedna mała czarna, bez ciastka.

5.

— ...Z tabelo looo...
— ...Z tabelo loo... Nadzwyczajna sensaaa... Z tabelo looo...
Przechodzień płaci dziesięć groszy, podchodzi do latarni, poczym czyta olbrzymiemi literami drukowaną sensację:
...„Dziś nareszcie możemy się z naszymi czytelnikami podzielić radosną nowiną: udało się nam zdobyć dla... najnowszą, arcysensacyjną, współczesno - obyczajowo - perwersyjno - kryminalną powieść świetnego i rozchwytywanego w szerokich kołach czytelniczych Mordęgi Pontonowicza. Druk najnowszej, ciepłej jeszcze pracy tego najpoczytniejszego dziś w Polsce beletrysty rozpoczniemy w dniach najbliższych, przyczem dla zachęty streszczenie zakończenia ostatniej powieści i początku następnej podajemy w numerze dzisiejszym na stronicy następnej..."

6.

Babina z kiosku pod ministerstwem X woła:
— Proszę pana! Proszę pana! A pańska gazeta?
Urzędnik przechodzi mimo.
— Proszę pana! Gazety pan nie wziął!
Urzędnik, gniewnym tonem:
— Przecież dziś święto. Ja nie idę do biura, tylko na spacer.
I dodaje po chwili:
— A od pierwszego wogóle tej... gazety nie będę kupował, bo mam widoki na posadę prywatną!

Pierwszych dziesięć odpowiedzi zawierających w odpowiedniej kolejności tytuły pism, z jakich czytelnicy czerpali informacje, nagrodzonych będzie przyznaniem za trafne rozwiązanie miesięczną prenumeratę „Podbipięty".

Przez moje okienko

Wizja kolonialna

W wielkim gabinecie Gubernatora Ugandy panował półmrok i dostojna cisza. Nic nie zakłócało spokoju dostojnikowi, który spoczywał wygodnie wyciągnięty na kanapie, odstąpiwszy miejsce swe za biurkiem wielkiemu dobermanowi, czuwającemu nad snem swego pana.

Pan Aloizy Szarotka piastował godność Wielkorządcy Ugandy, Rezydenta Rządu Rzeczypospolitej w wielkiej połaci Afryki od pierwszych chwil powstania polskiego Imperium Kolonialnego. Był on w „starym kraju" cenionym urzędnikiem Ubezpieczalni Społecznej i odznaczał się nie tyle osobistymi walorami, ile posiadaniem znajomości wśród wpływowych osób, które o nim pamiętały. nic więc dziwnego, że gdy na Rzeczypospolitę spadł ciężki acz zaszczytny obowiązek misji cywilizacyjnej w Afryce i gdy zaczęto rozglądać się za odpowiednimi ludźmi, wzrok „czynników miarodajnych" spoczął na pulchnej postaci Pana Szarotki, który zresztą ze wszech miar nadawał się do nowej roli i miał nawet pewne teoretyczne przygotowanie. Matka Pana Gubernatora posiadała przed wojną niewielki ale dobrze zaopatrzony sklepik kolonialny w Końskich, gdzie przyszły konkwistador zetknął się po raz pierwszy z zagadnieniami importu pieprzu, cynamonu i muszkatałowej gałki, zanim sam podczas budowy mieszkania na jednej z warszawskich kolonii nie nabył hartu ducha i nie otrzymał zaprawy do znoszenia wszelkich przeciwności krajów tropikalnych. Nie bez znaczenia była również okoliczność, że przyszły reprezentant Polski zaopatrzony był już w kompletny strój kolonialny, który mu pozostał z balu maskowego, urządzanego kiedyś przez Z. M. i Kol.

Nominacja, wyjazd, objęcie urzędu, wszystko to stało się tak szybko, że Pan Szarotka miał chwilami wrażenie jakiegoś przyjemnego snu czy egzotycznego filmu. Prędko jednak wszedł w swoją nową rolę i przejąwszy się nią, wcielał w życie najlepsze tradycje rodzinnej biurokracji.

Obecnie właśnie, korzystając z godzin przyjęć, oddawał się miłej i pożytecznej dla zdrowia drzemce.

Niezbyt długo dane jednak było to odpoczywać strudzonemu dostojnikowi.

Bezszelestnie rozsunęła się kotara, zakrywająca drzwi. Do gabinetu wszedł ogromny murzyn opięty w mundur biało-amarantowy:

— Massa — przyszła znów delegacja wodzów wszystkich okolicznych plemion. Mówią, że mają bardzo ważną sprawę do Massa Gubernator.

— Goddam — zaklął wytwornie z angielska dostojnik. — Czy nie mogłeś powiedzieć tym dziarzom, że mam ważną konferencję?

— Och, przecież jestem na służbie u massa Gubernator już dawno, więc były to moje pierwsze słowa — odparł murzyn, ukazując w uśmiechu całą kolekcję wspaniałych zębów, — ale oni mówią, że byli już kilkanaście razy i zawsze trafiali na konferencję, postanowili więc czekać.

— Niech ich diabli — burknął już po polsku Gubernator. — Nie ma rady, sprowadź ich.

Z trudem powstał z kanapy, poprawił ubranie i z miną, w której prócz nudy i zniechęcenia malowało się również poczucie własnej godności, zajął miejsce za biurkiem, niechętnie opuszczone przez równie jak jego pan leniwego dobermana.

We drzwiach ukazali się, poprzedzani przez boy'a, wodzowie, którzy upadli na twarz przed białym władcą po czym chórem przywitali go staropolskim:

— Czołem!

Gubernator skłonił się łaskawie i zapytał:

— Z czym przychodzicie, o wodzowie, gdyż widzę, że wielka troska maluje się na obliczach waszych.

Nastała chwila milczenia, wreszcie przed zbitą gromadkę wystąpił jeden z wodzów, widocznie najstarszy czy najodważniejszy.

— O tak, massa, wielkie jest zmartwienie nasze. Nigdy nie skarżyliśmy się dotychczas i byliśmy chętni. Zakładaliśmy Komitety, organizacje, tatuowaliśmy nasze ciało motywami polskimi, nosiliśmy opaski na biodrach z pasiaków łowickich, uczyliśmy dzieci nasze najpotrzebniejszych wyrazów w języku starego kraju i nie ma już teraz murzyniątka, któreby nie znało takich słów, jak spontanicznie, byczo, mocarstwowo, nawet „Pomoc deszczową" zorganizowaliśmy dla bezrobotnych, choć my wszyscy tak jak bezrobotni, ale nie możemy, Massa, wykonać nakazu o nowej pisowni.

— Nie możemy, nie możemy— zabrzmiały głosy wszystkich Wodzów.

Na łagodnej zazwyczaj twarzy Gubernatora okazała się chmura.

— Cóż to, dlaczego nie możecie? Bunt? — zapytał gniewnie.

— Och nie, Massa, my po prostu pisać w ogóle nie umiemy...

Uśmiech powrócił na oblicze Gubernatora.

— No, jeżeli to tylko ten powód niewykonywania zarządzeń, to nie martwcie się. Podobnie tłumaczą się nawet w metropolii. Pamiętajcie tylko, że macie stać frontem do zagadnień językowych.

Rozkaz — odpowiedzieli chórem wodzowie, zadowoleni z urzędowego wyjaśnienia. — Oddajemy się do dyspozycji.

TEDDY.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

WYKŁADOWCY. Dzięki za lekcję abc. Istotnie, lepiej podbijać serca i głowy, niż pięty. Ale co robić z takimi, co wszystko mają w pięcie? Trzeba podbijać, żeby nie po smorgońsku na czworakach chodzili. Kto w piętkę goni, temu podbija pięty Podbipięta.

PANU S. H. Z NOWOLIPEK. Wasz przegląd, panie redaktorze, nie jest dość przenikliwy: — kiedy się w czymś przegląda, widzi tylko swoje odbicie i kalkulację. Nowa oferta? Nie wszystko można wyrazić językiem handlowym tu w Polsce.

FRONTOWI POPULARNEMU. Odpowiedź będzie gdzieindziej.

KLIENTCE Z BARU. Pani nie odróżnia Kantorowicza od Sienkiewicza. Nie należy mieszać!

FIRMIE „COHN I DON KON". Szpilki zanadto się gną. Nie skorzystamy. Jedyne wyjście — dostawa ich dla arsenału żołnierzy królowej Madagaskaru. Inaczej firma upadnie.

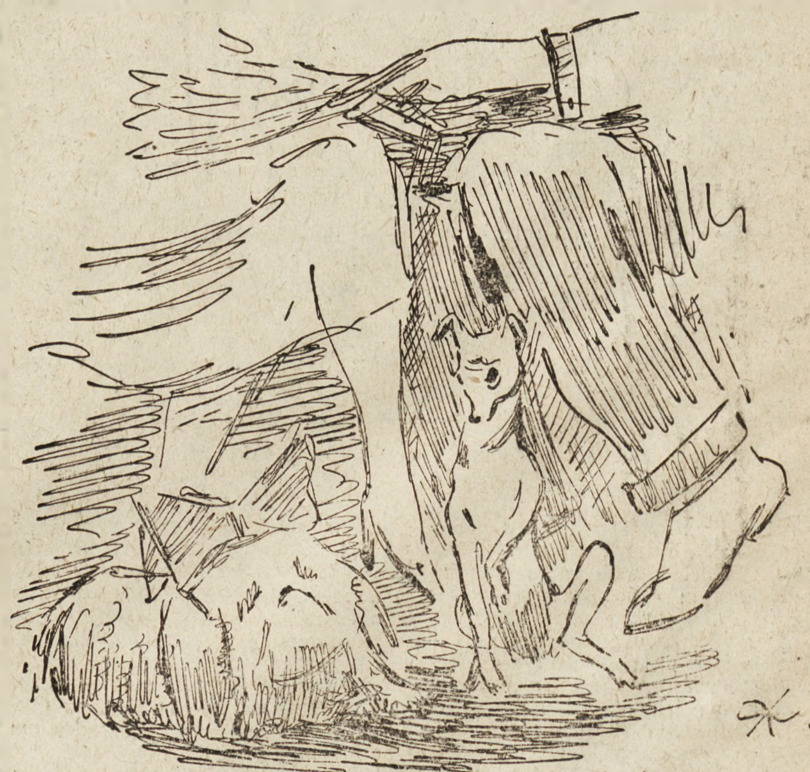
Oda państwowotwórcza do ukochanej

Drobna jest jak Kościałkowski,
Piękna jak sam Jaroszewicz,
Kocha wieś jak Poniatowski,
Brata czci jak Jędrzejewicz...
Punktualna jest jak Sławoj,
Jak Koc — szczęścia chce dla Polski
Wstrzemięźliwa jest jak Sławek
I niewinna jak Grzeszolski.

Janusz Minkiewicz



Stróż bezpieczeństwa: — Wokulski? Niezameldowany. Proszę się zaraz rozejść.
(Inicjatywa uczczenia pamięci Prusa przez wmurowanie tablic pamiątkowych w domach, w których mieszkali" bohaterowie powieści „Lalka" Wokulski i Rzecki podjęta przez poetę Stefana Gołębiowskiego natrafiła narazie na przeszkody ze strony czynników oficjalnych).



Byłby udany wieczór, gdyby się nam ludzie nie plątali pod nogami.

Redaktor odp. Antoni Szperli
Wydawca: Publicystyczna Spółka Wydawnicza, S. z. o. o.
Redaktor Jan Rembieliński
Kierownik działu literackiego Stanisław Miłaszewski.
Drukarnia Literacka, Al. Jerozolimskie 121.